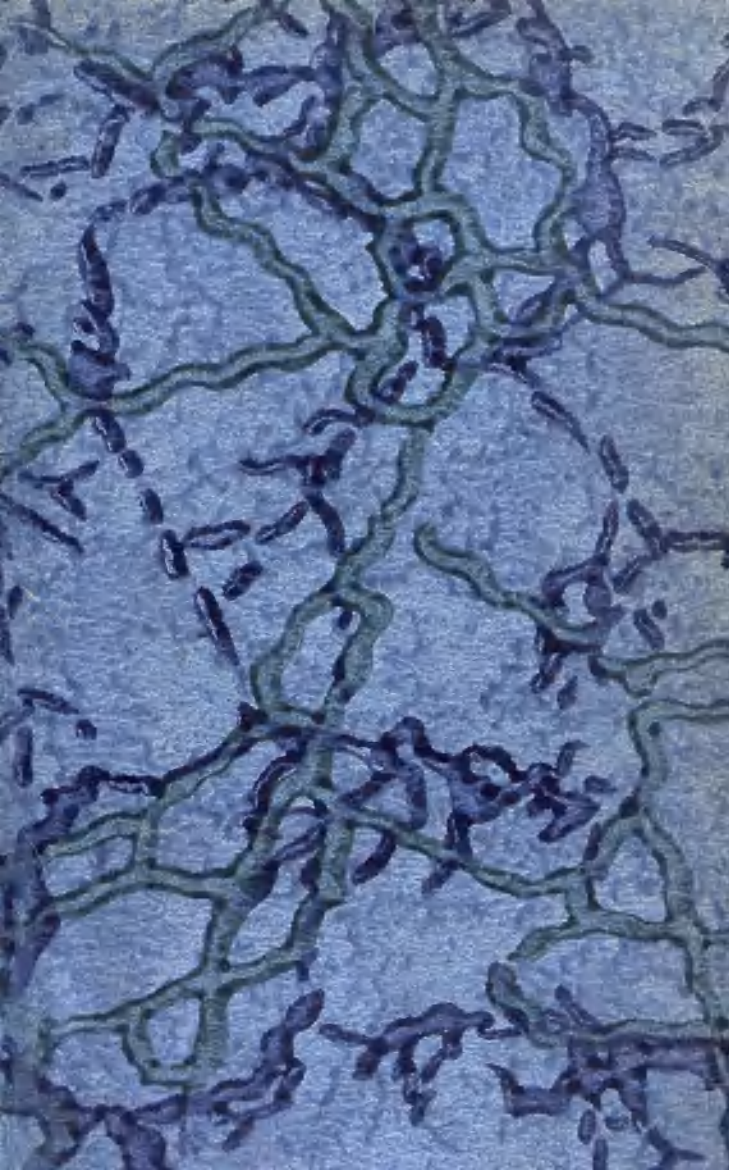
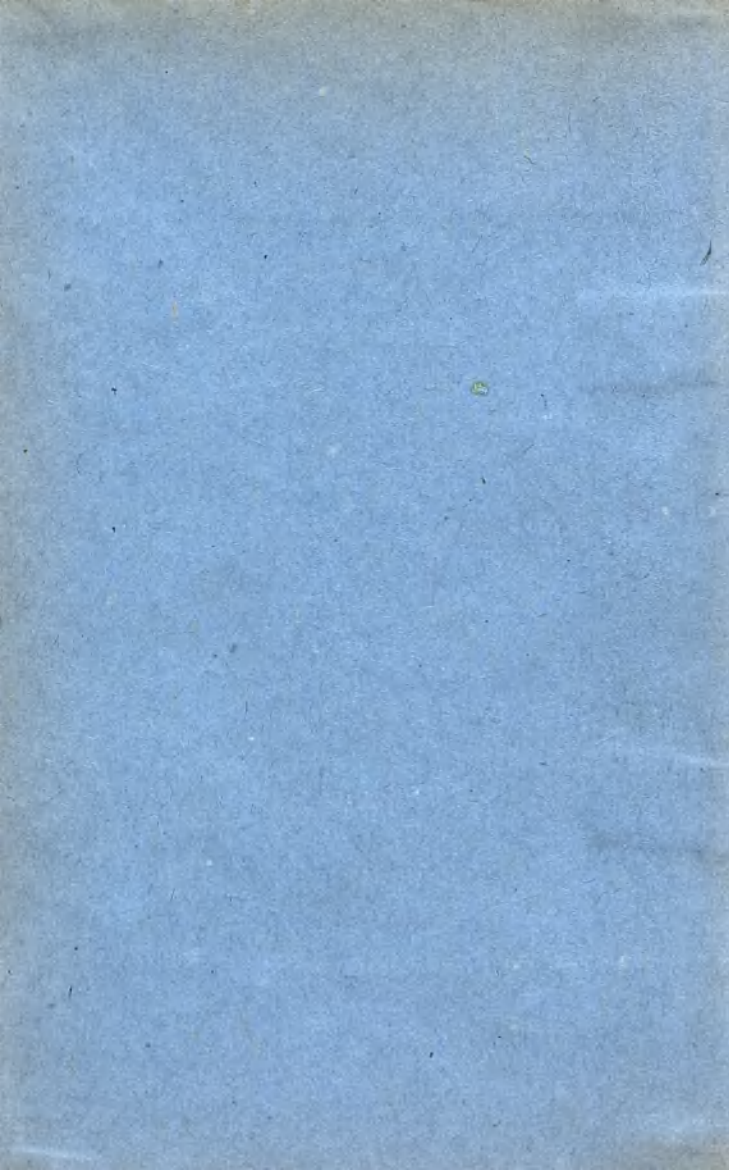
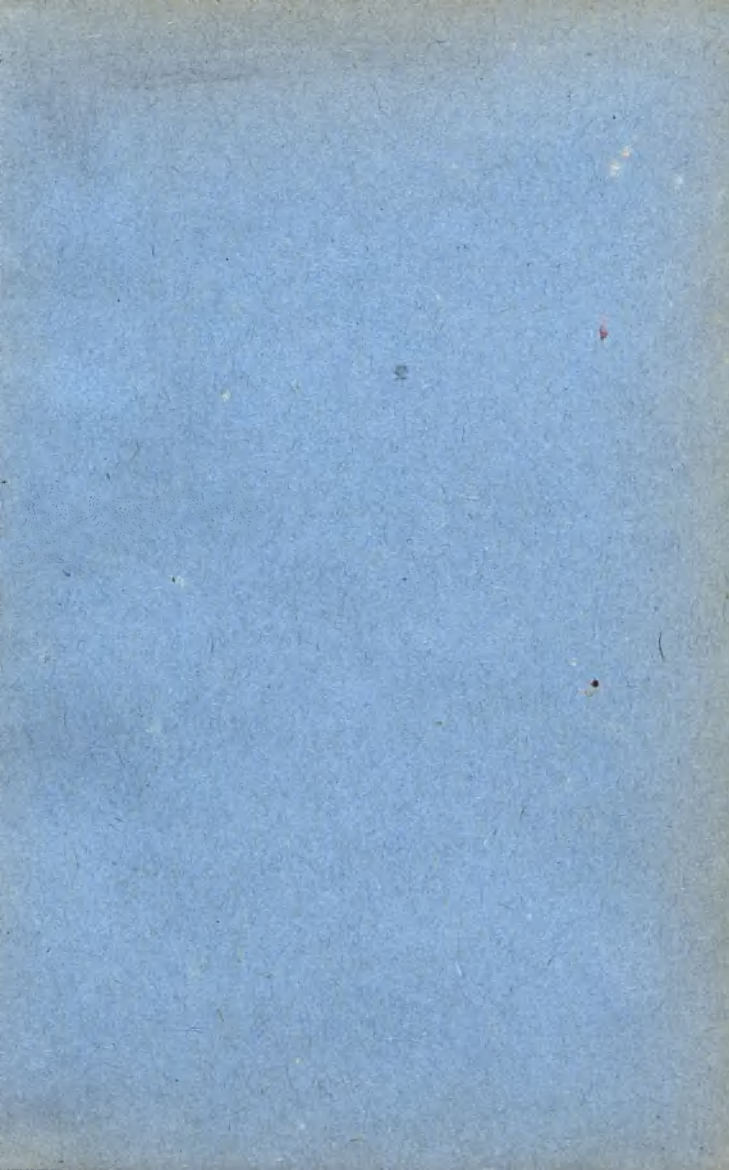
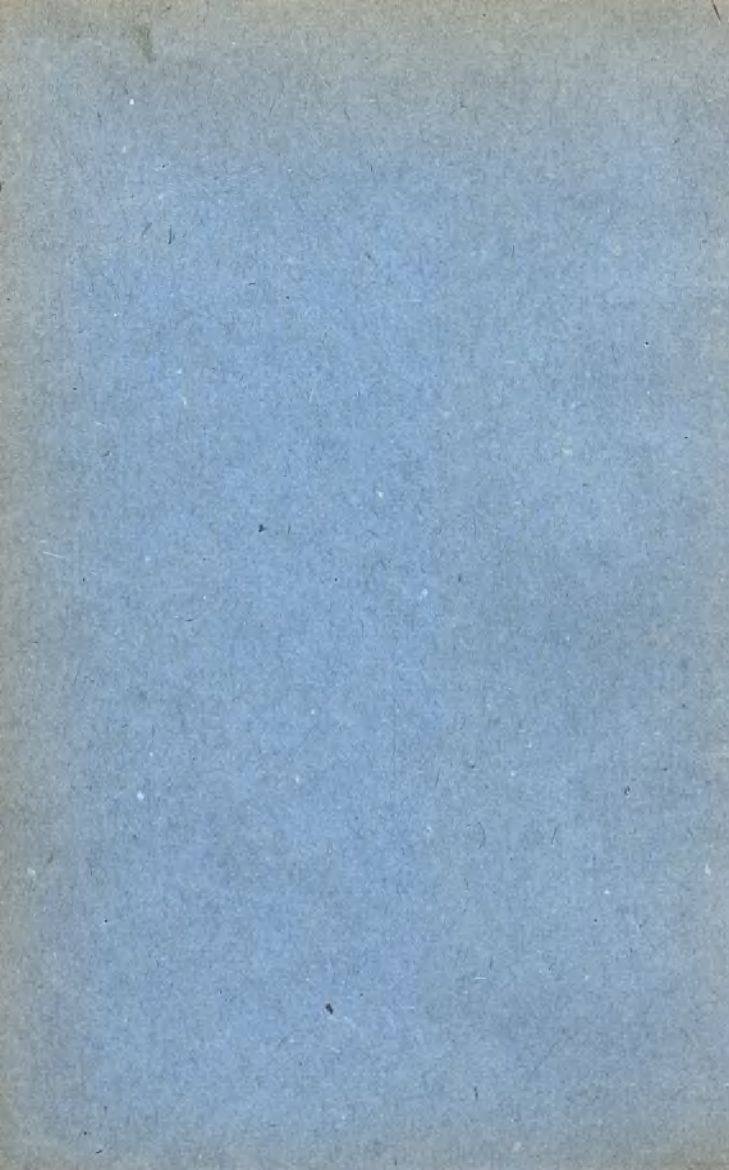










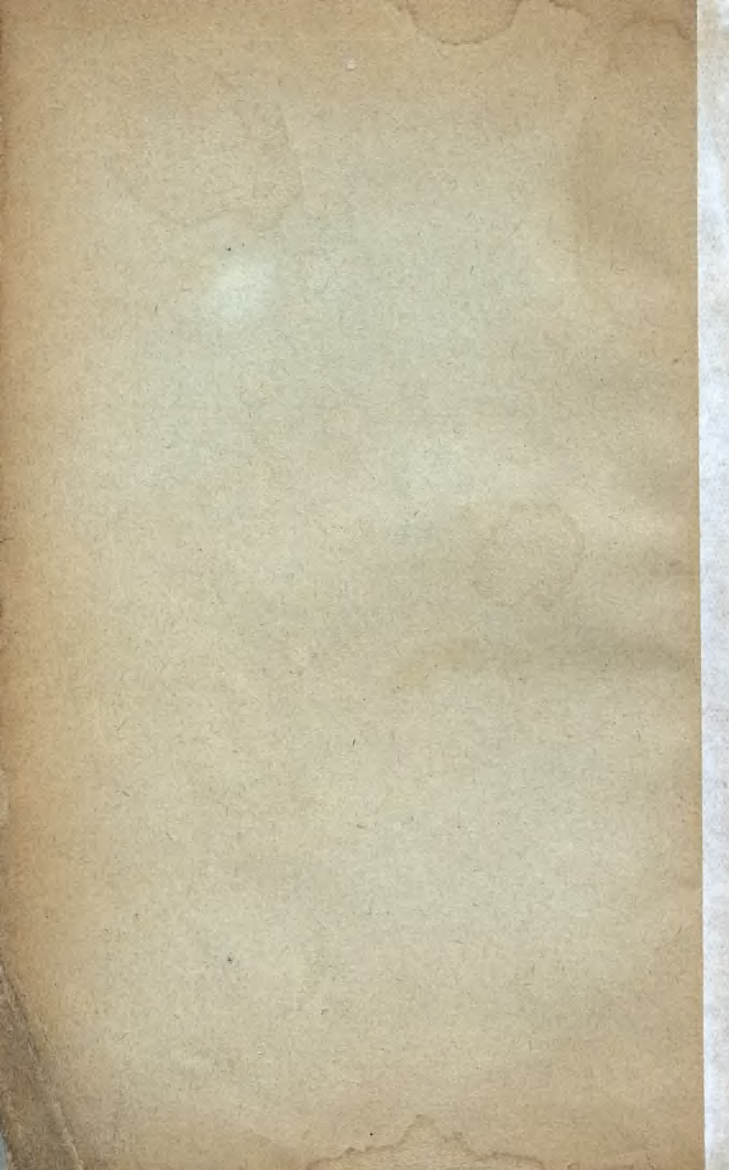
Tajemnica

dworze królewskie

Podręcznik
do historii



Mikołów-Warszawa.
Nakładem Karola Miarki.



TAJEMNICA
NA
DWORZE KRÓLEWSKIM.

—•••—
POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW

BOLESŁAWA CHROBREGO.



MIKOŁÓW—WARSZAWA.

NAKŁADEM KAROLA MIARKI.

1908.

3483

57

#SL9f1

134913

I

Emanuel Kleinert

R.-ce. Opolska 5.

28.6.57.

2.-5.





I.

Ród Jaksów należał do najzamożniejszych nad Odrą i Wartą. Pochodził on z Serbii, gdzie kilku z tego rodu kniaziami byli i osiedli tu, od rodzinnych chroniąc się waśni. Byli to wszyscy ludzie rycerskiego rzemiosła, a u siebie w domu tak panowali, jak kniaziowie Polańscy w Gnieźnie i Poznaniu, tylko że im ludzi na obronę kraju stać musieli.

Dwaj bracia Chrober i Zbilut przyjęli razem z Mieszkim Chrzest święty w Gnieźnie i przyjęli imiona Janka i Andruszka.

Obaj starzy już byli i obaj mieli po dwóch synów. Młodzież to była gorąca i butna, tęskniła za wojennemi wyprawami, nie rada spoczywać w domu.

Stary Jaksza Andruszkiem na Chrzcie św. nazwany, miał już dwóch synów dorosłych, którzy z królem Bolesławem Wielkim czyli Chrobrym do Czech i na Ruś walczyć chodzili. Starszy z nich po ojcu dostał imię Andruszka, młodszy zwał się Jurga.

Mając posiadłości niedaleko od granic, kędy często bywały napady, musieli się Jaksowie trzymać czujnie a obronnie.

Właśnie Bolesław był na Rusi z obydwoma braćmi, gdy stary Jaks, który już dawno złożony był chorobą, zakończył życie. Gdy potem obaj synowie z owego sławnego Kijowa powrócili, gdzie razem z królem dość długo i wesoło się zabawiali, zastali dwór pusty, służbę tylko wierną, pilną dobrą pańskiego i w skarbcu ogromne stopy dóbr. Pozbawieni oka ojcowskiego, poczęli życia swobodnie używać, nie żałując sobie niczego. Stary dworzec, niegdyś tak spokojny, brzmiał teraz muzyką i śpiewami, wyprawiano ciągle uczty, goście się dniem i nocą zjeżdżali.

Jurga i Andruszka jeździli też czasem na dwór królewski z pokłonem; Bolesław ich po ojcowsku przyjmował, karmił, poił i o wyprawach wojennych rozmawiał, lecz o rozwiośle życie strofować ich zaniedbywał.

Jurga, w Poznaniu bywając, ujrzał u boku królowej piękną Teodorę, córkę Sieciecha, ochmistrza królewskiego dworu. Oboje się sobie wzajemnie spodobali, jakby stworzeni byli dla siebie. Chciał się z nią żenić, lecz nie wiedząc czemu, odkładał to z dnia na dzień, aż gorsze nastały czasy.

Na starym dworcu Jaksów szło po staremu. Łowy, uczty ogromne odbywały się ciągle, aż wreszcie wyczerpał się skarb ojcowski i bieda Jaksom zazierać w oczy zaczęła.

W tym kłopotcie przyszedł Andruszce i Jurdze w pomoc swemi radami Czech Gwidon, który po

świecie włócząc się długo, zapoznał się z Jaksami i u nich służył ochmistrza domu przyjął.

Gdy więc tak ciężkie nadeszły czasy, pomyśleli o tem Jaksowie, aby u stryja Janka szukać pomocy. Był to człek stary, ociężały; ale serce mu się ścisnęło, że ojcowizna szła na marne, że ziemię nawet rozszarpywano, lecz sił do powstrzymania brataników nie miał.

Dnia pewnego w listopadzie, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, Jurga i Andruszka z nieodstępnym Gwidonem i ludźmi właśnie z łowów do domu wrócili, obaj chmurni, bo i myśliwstwo im się już nie wiodło teraz. Zasiedli przy palącym się na kominie ogniu w wielkiej izbie i długo milczeli smutnie. Wreszcie młodszy Jurga odezwał się do brata:

— Co tobie, Andruszko?

— A tobie co? — spytał brat — jeszcze cię takim chmurnym nie widział.

— Bieda u nas...

— Oj bieda, wojny by nam trzeba...

— Król ociężał, już mu się wojować odechciało. Lepiej mu w Poznaniu siedzieć, rycerstwo przy stołach podejmować.

Westchnęli obaj.

Gwidon, który wszedł był po cichu do izby i słuchał tej rozmowy, odezwał się nagle:

— Na biedę u nas ludzie sobie radzić umieją, gdy pokój trwa nadto długo.

Spojrzeli na niego ciekawie obaj bracia.

— Trudno rycerstwu dać mieczom rdzewieć. Niema nieprzyjaciela, trzeba polować na podróźnych...

Andruszka potrząsnął głową.

— U nas tego zwyczaju niema. Gość u nas wszelki zawsze bezpieczny.

— Swoj to pewno — odparł Gwidon — ale pocóż się mają obcy po gościnach włóczyć z wielkimi skarbami. Jakie mają prawo w cudzej ziemi handlować? U nas jeśli taki podróźny nie da z dobrej woli okupu, idzie do lochu, albo głowy nałożyć musi. A na czyjej ziemi kupiec zmarł, do tego mienie jego należy.

Bracia posępnie milczeli, a Gwidon, spozierając na nich z ukosa, mówił dalej:

Tu nieraz dobrze obłowićby się można na tych, co do Poznania, do Gniezna z Grecyi i z Rusi przeciągają. Spotkałem wozy i konie, na które aż ochota brała...

— U nas bo tego zwyczaju nie bywało — powtórzył Jurga.

— No, jam słyszał — ciągnął dalej Gwidon — że Domarodowie w lasach swoich drogę zastępowali i obłowili się nie mało, a nikt im przecież marnego nie powiedział słowa... co wzięli to mieli...

Andruszka niechętnie coś zamruczał.

Jurga wstał, wzdychając, i chodzić zaczął po izbie. Piękna Sieciechówna przyszła mu na myśl, nie było jej teraz gdzie wprowadzić i czem obdarzyć...

— Mnie już tak dokuczyło to głupie ubóstwo nasze — rzekł — że gdyby mi się jaki Grek nawinał, to nie ręczyłbym za siebie... Andruszka, jako dobry brat, takżeby mnie samego przy tej robocie nie zostawił. Co?

Plugawa to rzecz, lepiej wojny czekać — rzekł starszy.

— Tak, na to czekać musimy — powtórzył Jurga — bo Grecy nie włóczą się po lasach, jak zwierzyna... Łatwiej dostać Turka, niż Greka.

Wtem odezwał się Gwidon ze śmiechem:

— Nie mówiłbym panom o czemś podobnem, gdybym już podobnego nie wiedział.

Jaksowie obaj zerwali się i przyskoczyli do niego. Myśliwska i wojenna żyłka w nich zadrgała...

— Wiem to napewne — rzekł Gwidon — a jego małe przebiegłe oczy zaiskrzyły się złowrogo. Wiem, że przez nasze lasy kupcy pojedą jeszcze przed Bożem Narodzeniem. Kupcy mają być bardzo znaczni, koni jucznych kilkanaście, a skarby wiozą wielkie.

— Toć pewnie bez wojska i straży nie będą — odezwał się Andruszka.

— Wiemy dobrze, co znaczy ich straż i najemne pacholki, na cudzych śmieciach. Na nich jakby prawdziwy rycerz dmuchnął, rozpierzchną się jak stado dzikich ptasząt.

Gdy bracia nic mu nie odpowiadali, on popatrzał na nich z ukosa, i wreszcie rzekł trochę ciszej:

— Gdyby mi jeno ludzi dano, dałbym sobie sam radę z nimi.

— Zła to sprawa — wtrącił Jurga — dajmy temu pokój.

— A kiedyż to ta wasza złota zwierzyna ma przejeżdżać? — zapytał Andruszka niby od niechcienia.

Gwidonowi aż się oczy zaśmiały, był już prawie pewnym swego.

— Lada dzień! — zawołał — lada dzień. Trzebaby już od jutra zacząć na nich czatować.

— Zaczepić ich nie chciałbym — rzekł Jurga — ale radbym widzieć, jak taka karawana wygląda... jak się to wlecze... Zresztą okup ściągnąć na własnej ziemi... nic to straszego... wszakże król także z miast opłatę bierze.

Gwidon spiesźnie mówić zaczął.

— Staniemy u mostu, na ruczaju, co się zgniłym nazywa... Most to pański, nie dla nich przecież stawiany... czy to nie kosztuje?

— Może ma słuszość — mruknął Andruszka, na swoim moście przydybawszy, nie grzech upomnieć się o zapłatę.

Na tem skończyła się rozmowa dnia pierwszego. Nazajutrz Gwidon nie przestał namawiać braci, i wreszcie doprowadził do tego, że dnia trzeciego od stóp do głów uzbrojeni, wyruszyli w las

niby na łowy. Gościniec, którym kupcy jechać musieli, był o dwie mile od dworu.

W puszczy przechodził ów parów, którego głębinę przepływał ruczaj a nad nim dla grzęzawicy i topieliska most wystawiono, gdy raz wojsko przechodzić tamtędy miało.

Miejsce u mostu było dogodne, bo z jednej strony świerki mogły ukryć ludzi w zasadzce, dopóki się cała gromada w dół nie spuściła.

Przyciągnąwszy tam pod noc Jaksowie, rozłożyli się pomiędzy świerkami. Jednakże smutnie zabierali się do tego, bo nie rycerska też to była sprawa. Gwidon tylko znajdował się w swoim żywiole, śmiał się ciągle i biegał, z pod nawisłych śniegiem gałęzi spozierając na gościniec.

Podług jego obrachunku kupcy o innej dnia porze, jak ku wieczorowi przejeżdżać nie mogli, gdyż nieopodal była osada, którą zwano Kołodzieje, gdzie każda taka podróżna gromada stawać była zwykła. Pierwszego jednak dnia nadzieja zawiodła czatujących, na gościńcu nikogo nie było. Drugiego dnia było tak samo, a mróz dojmował i wiatr smagał. Jaksowie już się starannie niecierpliwić zaczęli, gdy wreszcie dnia trzeciego na gościńcu ukazali się jezdni, wiodąc konie stąpające wolno. W mgnieniu oka wszystko było w pogotowiu, Andruszka jakby istotnie nieprzyjaciela zobaczył, zaczął swych kilku ludzi, których zabrano ze sobą, ustawiać, jakby do boju.

Orszak ów, niczego się nie domyślając, postępował zwolna ku mostowi. Czekano aż się cały z góry spuści.

Gdy pierwsze konie jeszcze z przewodnikiem już na most wstępować miały, Andruszka i Jurga, nagle z poza krzaków wypadłszy, drogę im zastąpili. Na czele kupieckiej gromady, składającej się z piętnastu koni i sześciu uzbrojonych ludzi, jechał wąsaty mężczyzna w kozuchu dostatnim i z dwoma nożami za pasem. Spostrzegłszy naprzeciw siebie zbrojnych, stanął, ludzie też jego do obrony szykować się zaczęli.

Przewodnik pieszy, popatrzywszy na tych, co wypadli z za krzaków, poznawszy ich, w bok się cofnął i uciekł. Gwidon wystąpił pierwszy, wołając, że przejazd bez okupu nie jest wolny.

Wąsacz odpowiedział mu w niezrozumiałym języku, i wyciągnął nóż z za pasa.

Na widok żelaza w Jaksach krew zakipiała. Już ich powstrzymać nie było w ludzkiej mocy. Uciekać kupiec nie mógł, z obładowanymi, umęczonymi końmi, zaczęła się więc zacięta kłótnia. Wtem Andruszka i Jurga skoczyli wprost na niego i jeden uderzył go w głowę. Grek oddał mu po ramieniu.

Wszczęła się tedy ogólna utarczka, a że Jaksowie i ich ludzie silniejsi byli, wkrótce gromadę kupiecką pobili. Kilku pacholków, zeskoczywszy z koni w las uciekło, kilku śmiertelnie rannych le-

gło na ziemi. Kupiec także z konia się zwalił, porąbany okrutnie i ducha wyzionął.

Konie przestraszone także uciekać nie mogły, bo na ślizgawicy padały. Nie upłynęło pół godziny, a cała zdobycz została w ręku napastników, rozgrzanych bojem i wcale już nie rozważających, co popełnili.

Odartego trupa zostawiono na gościńcu, a Jaksowie z końmi obładowanymi powrócili do swego dworu późno w nocy.

Przybywszy na podwórze, kazali ludziom przyjść z pochodniami, i zdjętą z koni zdobycz poskładać w wielkiej izbie, gdzie się mnóstwo ciekawych dworskich ludzi zgromadziło. Jaksowie tak byli rozgorączkowani, że się nawet z popełnionym rozbojem ukrywać zaniedbali.

Na Greku dwa wielkie trzosa złotych pieniędzy zabrano, a w jukach było pełno bogactw rozmaitego rodzaju. Było też tam wiele materii złotem i srebrem przerabianych, jakie naówczas panie na pokrycia futer i na suknie używały, byzanckie purpury, złote naszyjniki, srebrne naczynia drogimi kamieniami ozdobione i pełno tym podobnych rzeczy kosztownych.

Rozradowani tem bogactwem bracia Jaksowie rozmawiali o tej potyczce, jakby o jakiej wojennej wyprawie, wzajem się uniewinniając, i potem poszli spać, dobrze sobie podochociwszy winem, którego kilka baryłek także w jukach znaleźli.

Nazajutrz dopiero przyszły niejake obawy. Andruszka pierwszy wpadł na myśl, czy ten kupiec nie był na dwór króla do Poznania powołany i czy go tam nie oczekiwano. Co naówczas będzie?

Jurga milczał posepnie. Przebudziwszy się, inaczej na tę sprawę patrzył i w duchu namowy Gwidona przeklinał.

Obaj Jaksowie chodzili niespokojni. Ludziom, co z nimi na tej wycieczce się znajdowali, nakazano surowo milczenie. Jednego z nich wysłano potajemnie, aby zobaczył, co się z trupem stało. Wkrótce powrócił wysłany z doniesieniem, że mu powiadano w Kołodziejach, iż ludzie od dworu królewskiego, powracający do Poznania, ciało leżące na gościńcu znaleźli i prawdopodobnie z sobą zabrali. Powiadano mu także, iż ów przewodnik greckiej karawany poznał ludzi Jaksowych, a że się to na ich gruncie stało, więc nikt wątpić nie mógł, że oni byli tego rozboju sprawcami. Popłoch wielki powstał więc pomiędzy winowajcami, którzy całą winę zwalali teraz na Gwidona, bo on to pierwszy podał tę myśl nieszczęśliwą.

Bracia Jaksowie, znając dobrze surowość króla, nie kryli się z tem przed sobą, iż gdyby przyszło stawać przed sąd jego, wielka ich kara czekała. Królowi szło wielce o to, aby obcy kupcy bezpiecznymi byli wśród jego krajów i za bezprawia i gwałty karał równie surowo rycerstwo, jak kmiotków i osadników.

Jaksowie mieli wprawdzie u króla zasługi i łaski, przyjaciół na dworze i rodzinę możną; wszystko to mogło ich bronić w potrzebie, ale to w oczach króla nie miałyby wagi, gdy raz co postanowił.

Niepokój braci zwiększył się jeszcze, gdy Czech Gwido, zebrawszy znaczną część łupów, uszedł wśród nocy w lasy, tak że go pogoń wysłana nazajutrz już doścignąć nie mogła.

Kilka dni upłynęło wśród takich kłopotów, gdy nagle w nocy posłaniec królewski w czterdzieści koni nadbiegł, dwór osaczył dokoła i przywiózł Jaksom rozkaz króla, aby się z nim natychmiast przed sąd królewski stawili, jako obwinieni o napad gwałtowny i obrabowanie kupca, który dla króla prowadził z Kijowa zamówione towary.

Opierać się temu rozkazowi, ani też uciekać nie było sposobu, a sąd króla — to śmierć niechybna.

Stary komornik i dowódca pancerników Drogosz, dobrze obu braciom znany z wojen, które z nim razem odbywali, wszedłszy do izby, zawołał:

— Do pioruna! cóżeście to nawarzyli wy? najmątniejsi z naszych władyków, którzyście złoto garściami rzucali, czyście oszaleli rzucać się na kupca i niby rozbójnicy rzucać się na życie niewinnego podróżnego.

Żaden z braci się na razie nie odzywał.

— Król ogromnie zły — mówił dalej Drogosz — zaprzysiągł się, że tego nie przebaczy.

Pospuszczali głowy Jaksowie, lecz nic na swoją obronę mówić nie śmieli.

— Póki jeszcze czas, poślijcie po stryja — mówił po chwili milczenia stary dowódca pancerny. — Dajcie znać przyjaciołom, niech jadą i proszą za wami, jeśli nie króla, bo do niego, gdy on w gniewie, przystąpić trudno, to królową, ona wiele może...

— Stryj dawno na nas zagniewany, znać nas nie chce — odparł smutnie Andruszka — przyjaciele dopóty z nami trzymali, dopóki nam szczęście służyło... teraz nikt się nie będzie chciał narazić królowi... Niech się dzieje wola Boża! może jedną głowę ocalim drugą... ja moją położę...

— Chyba ja — mruknął Jurga — albo nie, to oba...

Żadnemu z nich na myśl nie przyszło uczynku się tego zapierać; po żołniersku śmiało się do tego przyznawali. Drogosz, widząc, że o niczem nie myślał, sam szepnął ludziom dworskim, aby starego Jakse i innych krewnych o nieszczęściu tych dwóch braci uwiadomili i o pomoc dla nich błagali.

Potem wedle rozkazu królewskiego zabrawszy wszystkie towary, jakie się tam jeszcze znalazły i konie kupca, z dwoma braćmi do Poznania z powrotem Drogosz wyruszył.

Stary dwór pozostawiono rozplakanyim sługom, którzy swych panów z głośnymi okrzykami żałości zegnali. Oni zaś wiedzieli, że już na swój gród stary nie powrócą...

II.

W chwili, gdy Andruszkę i Jurę wywożono z dworca, stary zaufny borowy, sługa Jaksów, wsiadłszy na oklep na koń, podążył mil kilkanaście do stryja, który mieszkał na Gródku swoim w Niemierzyskach. Człek to był lat już bardzo podeszłych, za którego teraz dwóch synów na wojnę stawalo, bo on już tylko o kiju chodzić mógł po domu i podwórzu.

Dla dzieci był po staremu surowym... Matki już one dawno nie miały. Jedyna żona Janka, Czeszka Drahomira, zmarła mu wczesnie, a potem już się powtórnie nie ożenił. Synowie Janka byli prawie rówieśnikami swych stryjecznych braci, i jak oni równie ludzie rycerscy i wojenni. Starszy Miklasz i młodszy o trzy lata Oleksa, dowodzili wojskiem na wyprawach wojennych, a w czasie pokoju pierwszymi tylko sługami ojca być musieli. Kochał ich, ale im nie folgował.

Na gródku swym w Niemierzyskach panował tak, jak król Bolesław w Poznaniu. Około dwóchset pancernych miał zawsze na pogotowiu. Gdy z Jaksowych borów przypadł ów sługa stary z wiadomością o losie Andruszka i Jurgi, trafił na podwórkę Miklasza i zaraz mu wszystko wypowiedział.

Miklasz, kazawszy czekać staremu w podsieniu, pospieszył z tą wiadomością do ojca, który sam jeden siedział zadumany przy palącym się na kominku ogniu.

Zaledwie syn stanął w progu, przemówił, iż złą wieść przynosi.

— Nie trzymajże mi jej jako miecza nad głową, mów! — zawołał stary.

— Z Jaksowych borów przybył stary sługa, tam się nieszczęście stało. Andruszka i Jurga napadli na gościńcu kupca Greka, który dla króla wioził z Kijowa towary. Powaśnili się z nim, zabili go i odarli. Król dowiedział się o tem i kazał ich na sąd przywieźć do Poznania.

Janko, wysłuchawszy syna, głową tylko potrząsł i długo słowa wymówić nie mógł.

— Jeśli to prawda — rzekł wreszcie, a król się nie zmiłuje, dać będą musieli szyję... Na cały ród Jaksów spadnie hańba i sromota niezmazana.

Załamiał dłonie stary.

— Co czynić? — mruknął — co czynić? O miłosierdzie prosić dla łotrów, czy za cudze winy hańbę ponosić? A czyż u Bolesława zda się na co błaganie?... Czy łzy i prośby go wzruszą?

Zamyślił się długo... Potem skinął na syna, aby mu tego starego sługę przyprowadził.

Ten, gdy wszedł z płaczem rzucił się do nóg starego Jaksy, i zaczął opisywać wszystko dokładnie, bo pomimo podeszłego wieku należał do tych, co z Jaksami przy moście na kupca czyhali.

Dowiedziawszy się starzec, jak się to nieszczęście stało i kto był jego przyczyną, dał ręką krótką

odprawę staremu słudze, i ze łzami w oczach zadumał się długą chwilę.

Syn stał, oczekując na rozkazy ojca, ale ten nie zważając na niego, mówił niby sam do siebie w wielkiej boleści...

— Niechaj giną łotrowie! Niech przepadną marnie! Mamyż się my czyści za pohańbionych ujmować? Andruszko, bracie mój miły, ciebie mi żal tylko, jeśli z tego tam świata patrzysz na niegodne potomstwo swoje.

— Rodzica dawno stracili, w złe ręce popadli — odezwał się Miklasz nieśmiało.

— A krew Jaksów bujna — co nie łatwo ostygą — dorzucił starzec.

— Król jeśli nie nad nimi, to nad rodziną ich zmiłować się powinien, bo z ich życiem nam dobrą sławę odbierze.

Nagle powstał z siedzenia, opierając się na kiju, a z pod siwych brwi nawisłych oczy mu połyskiwały.

— Może czas jeszcze prosić o miłosierdzie. Miklasz pojedziesz ze mną... konia każ mi osiodłać.

— Ojciec miłościwy — rzekł syn z pokorą... — jakże wam pomyśleć o koniu? Mroźny czas, wyście tak słabi...

— Na saniach leżeć nie mogę... jam żołnierz nie lada — rzekł stanowczo starzec. — Starego mi konia osiodłać... Kozuch wezmę i pojedę...jechać muszę...

Gdy stary Jaksa raz co postanowił, nikt go od tego odwieść nie zdołał. Na wieść niesłychaną, że stary pan jedzie do króla, wszyscy zdziwili się i przelękli. W posępnem milczeniu zaczęto się do tej podróży przysposabiać. Wreszcie, gdy już wszystko było w pogotowiu, dwóch pachołków wzięło starca na ramiona i posadziło go na grzbiet konia.

I tak prowadzony przez całą służbę dworską, wyruszył stary w podróż z garścią ludzi i synem.

Z początku jechał jakby z gorączkowym pospiechem i dość rażno trzymał się na koniu, ale dnia drugiego osłabł widocznie, a trzeciego tak już źle z nim było, że go znieść musiano z konia i położyć w chacie małej osady, którą na drodze spotkali. Tam w ubogiej izbie, ogień rozpaliwszy, usłano dlań łoże i na niem starca złożono. Życie, którego nie wiele już w nim było, nagle się wyczerpało... gasnął w oczach... Sam przeczuwał, że niedosięgnąwszy celu, w drodze marnie zemrzeć musi.

— Miklasz — odezwał się słabym głosem do klęczącego przy łożu syna — zaklinam cię na wszystko co święte, na krzyż Zbawiciela, uczyni co każę, czego żądam.

Syn na znak posłuszeństwa rękę przyłożył do piersi.

— Mojem przeznaczeniem było umierać w tej nędznej chacie. Lecz skoro umrę, wsadzicie mnie

na mojego konia, mocno przywiążecie, abym nie spadł, i pojedziecie z moim trupem do Poznania przed króla... powiecie mu, jako nie mogąc przybyć żywy, przybywam umarły prosić za rodem swoim. Nie zlitowawszy się nad żywym, może się nad umarłym zlituje. Rozumiesz to?

Miklasz milczał przerażony.

W kwadrans potem starzec ducha wyzionął, a Miklasz wśród ciężkiego żalu pomyślał teraz o dotrzymaniu swej przysięgi.

Wsadzono więc trupa na konia; dwóch ludzi musiało go, ciągle się zmieniając, przytrzymywać i tak udano się w dalszą podróż.

Gdy już byli blisko królewskiego grodu, spotkali się na popasie z tym samym Drogoszem, który po braci Jaksów był wysłany. Był on także Miklaszowi z dawnych wypraw wojennych znanym. Zrazu osłupiał na widok jadącego konno nieboszczyka, ale Miklasz wnet mu wytłomaczył, jakie od ojca otrzymał przykazania, a potem spytał Drogosza, co się działo z jego stryjecznymi.

Stary dowódca pancerny westchnął ciężko.

— Wątpię, abyście na czas do ocalenia ich przybyli — rzekł smutnie. — Gdym ich obu na gród przywiozł, król na oczy ich widzieć nie chciał i zaraz do ciemnicy zamknąć ich kazał. Jest na nich tak strasznie zagniewany, bo w lasach schwycono Gwidona, który razem z nimi napadł był na tego kupca i ten całą winę na Jaksów zwał. Pomimo

to już mu głowę ścięto. Co się dalej stało, nie wiem, bo mnie król wysłał znów w drogę. Gdy na koń siadał, król właśnie kapelana swego posyłał do braci Jaksów, aby spowiedź uczynili... katowi kazano się sposobić do więzienia. Król sfolgował pono o tyle, że nie każe ściąć ich publicznie, ale w lochu... Ale królowa, ta nasza świętobliwa pani, prosi pono za nimi z płaczem, a lzy jej wiele mogą... Bóg wielki! cud się stać może! Jedźcie, prosicie, niechaj nieboszczyk stanie przed królem w imię zasług swych go błagając. Jeśli jeszcze czas! — dokończył z westchnieniem.

Miklasz znał także surowość króla, nie wielką więc miał nadzieję, musiał jednak dopełnić przykazania ojcowskiego. Rozstał się więc ze starym Drogoszem i pojechał z nieboszczykiem ku Poznaniowi.

Gdy się już do grodu zbliżali, tłumy ludu ciśnieły się do nich, bo ich to straszne zwabiało widowisko, zmarłego starca wiezionego na koniu, którego na rękach nieomal ludzie dźwigali, i za nim jadącego syna z głową odkrytą i całej tej drużyny, wlokącej się, jakby ze wstydem, z upokorzeniem i trwogą.

*

*

*

Poznań już w ostatnich latach panowania Mieszka, potem za syna jego urósł był na znaczne miasto. Sam też zamek, który niegdyś cesarz Otton III jako sprzymierzyńiec króla odwiedził, i stąd pieszo

po suknie wysłanej drodze szedł do Gniezna, do grobu św. Wojciecha Męczennika, rozrósł się i po królewsku wyglądał.

Tuż na gruzach dawnej pogańskiej kontyny kościół katedralny pierwszy w Polsce, z gnieźnieńską stolicą Biskupią wznosił się z kamienia ciosowego zbudowany.

W pośrodku naprzeciw wielkiego ołtarza spoczywały już zwłoki ojca Bolesławowego Mieszka, on też zawczasu tu już dla siebie grób sposobić kazał.

Na grodzie widać wszędzie było wielki przepych, bo król go lubił. Pan ten wojennego ducha, który od Moraw do Bałtyku chciał wielkie jedno państwo słowiańskie utworzyć, czego już ojciec jego Mieszek pragnął, dwór też miał rycerski, a ten roił się napływem gości z Rusi, Czech, Moraw i Węgier. Gromady też podkomorzych, komorników, stolników, podczaszych i wszelkich urzędników dworskich, czuwały nieustannie, aby królewscy goście po królewsku byli przyjmowani.

Niejeden też na grodzie mieścił się dwór królewski. Miała swój dwór oddzielny królowa Emnilda, owa świętobliwa pani, córka Dobromira, którą już trzecią król zaślubił, a nad wszystkie dawniejsze żony szanował i kochał. Często też Mieczysław syn Bolesława i młodszy Dobromir, a starszy od niego Bezprym, z królowej, Węgierki zrodzony, i córki pańskie tu przebywały, a żona Mieczysława,

siostrzenica cesarska, Ryksa i wielu książąt sprzymierzonych i pokrewnych tu gościło, tak iż musiano coraz nowe gmachy budować, aby tych gości wygodnie poumieszczać.

W chwili, gdy Miklas Jaksa, prowadząc za sobą ciało ojcowe, wjeżdżał w bramę zamkową, komornicy królewscy spostrzegłszy trupa, ulękli się wielce.

Nie śmieli powstrzymywać lecz pobiegli oznajmić o tem starszemu nad dworem, którym był Sieciech.

Wybiegł więc zaraz Sieciech, pan poważny w szatach z aksamitu i ze złotym łańcuchem na szyi, i trafił na ten dziwny pochód, ku drzwiom muranego pałacu się zbliżający.

Gdy mu Miklasz wytłomaczył, w jakim od umarłego jedzie poselstwie, Sieciech kazawszy mu stanąć, pospieszył do króla, który z ulubionym sobie Opatem Tynieckim Aronem na osobności się zabawiał.

Przeszedłszy kilka komnat Sieciech, wszedł do sypialni, gdzie król siedząc w wielkim krześle, przy palącym się na kominie ogniu, odpoczywał.

Był już wówczas wielki ten wojownik ociężały wiekiem i znękany. Ciemny, bujny włos jego kędzierzawy, był siwizną przyprószone, a wspinałe, wysokie czoło zmarszczkami poorane. Oczy tylko pały ogniem młodzieńczym, lubo otyłość nadchodząca z wiekiem nużyła widocznie starego bohatera.

Kożuch soboli, aksamitem posyty, stanowił cały jego ubiór. Na nogach miał miękkie buty, futrem bramowane.

Obok krzesła królewskiego stał mężczyzna w czarnej, długiej sukni, słusznego wzrostu, chudej twarzy, bladej, poważnej i myślącej. Włos krótko obcięty, wygolona korona, krzyż na piersiach, duchownego oznaczały.

Gdy Sieciech drzwi uchylił, król zmarszczył brwi, nie rad widocznie, że mu rozmowę z Opatem przerywano i zapytał:

— Cóż mi powiecie?

— Przebacz miłościwy panie — rzekł pokornie Sieciech — że śmiałem przerwać rozmowę Waszej Miłości... w podwórzu nieboszczyk domaga się łaski i posłuchania u W. K. Mości.

Król i Opat zdziwieni tą mową, głowy podnieśli i spojrzeli na siebie.

— Tak jest, miłościwy panie — kończył Sieciech powolnie — stary sługa królewski Janko Jaksa z Niemierzyszcz chciał prosić łaski i zmiłowania pańskiego, a w drodze umierając trupa swojego synowi tu przywieźć kazał, aby on błagał o przebaczenie dla synowców... ludzi gromada się kupi...

Na twarzy króla odmalował się gniew okrutny, lecz słowa nie rzekł, spoglądając na Opata. Opat Aron stał niemy, nie okazując po sobie ani co czuł, ani co myślał.

Sieciech z głową spuszczoną na odpowiedź czekał.

— Syna mi tu sprowadź — zawołał Bolesław, nie wstając.

Sieciech pokłonił się na znak posłuszeństwa i odszedł natychmiast. Król i Opat patrzeli na siebie, Bolesław zdawał się pytać o zdanie duchownego, ksiądz czekał na to, co król powie.

Nie długo trwało to milczenie, bo wkrótce kroki nadchodzących słyszeć się dały. Błady Miklasz Jakska stał w progu chwilę, a potem się na kolana rzucił przed królem.

— Miłościwy panie! — zaczął.

— Wiem wszystko — przerwał mu król rękę ściśniętą podnosząc groźnie. — Wiem wszystko... Stary Janko z grobu przychodzi prosić za krewnymi... Ale przysięgłem, że nie przebaczę... Każę poczęstny pogrzeb wyprawić sławnemu rycerzowi, a ich głowy jutro rano spaść muszą... i spadną!

Usłyszawszy ten wyrok Miklasz, wstał powoli. Zdawało się, że dusza starego Jaksów rodu usta mu do dalszego błagania zamknęła. Nie rzekł nic, nie prosił więcej. Nie uchyliwszy nawet czoła, wolnym krokiem wyszedł z sypialni.

Król za nim wzrokiem pociągnął i nastąpiło długie milczenie, przerywane tylko trzaskiem ognia. Opat stał z rękoma na piersiach złożonemi i oczyma ku ziemi spuszczonemi.

III.

Gdy z głową na piersi zwieszoną Miklasz ukazał się w przedsieniu, pogrążony w smutku i rozpacz, domyślili się wszyscy nań czekający w podwórzu, że trup nic uprosić nie mógł. — Szmer bolesny przebiegł z ust do ust, niewiasty sobie oczy zakrywały, mężczyźni nic rzec nie śmiejąc z posępnymi twarzami rozchodząc się poczynali.

Miklasz zdawał się namyślać, potem poszedł, siadł na koń i ludziom dał znak, aby za nim jechali.

Już nawracał, gdy z dworca królewskiego wyszedł Opat Aron, przed którym wszyscy usuwać się i kłaniać poczęli.

Zwawym krokiem doszedł Opat ku Miklaszowi.

— Stój! — zawołał — Miłościwy pan i król nasz, dla winnych tylko jest surowym. Łaski jego nie utraciliście. Pogrzeb ojca waszego kazano w zamkowym odbyć kościele... Jedźcie wprost do tumu...

Miklasz słuchał milczący.

— Ojcie mój — rzekł — ze zwłokami ojca mego uczynię to, coby on był za życia uczynił, gdyby mu król łaski dla rodu jego był odmówił. Powiozę je precz stąd... pogrzebię je na pierwszym lepszym cmentarzu, jaki napotkam w drodze. Shańbiona rodzina nasza, co łaski pańskiej nie była godną, ni umarła, ni żywa progu już zamku tego nie przestąpi... Taka była wola zmarłego.

Opat surowym wzrokiem zmierzył mówiącego:

— Miklaszu Jakso — rzekł po cichu — czyńcie jako chcecie, ale rozważcie dobrze co czynicie... komu wydajecie wojnę... — a głos zniżając, dodał:

— Dziś jeszcze widzieć cię potrzebuję, dla dobra waszego.

Młodzieniec skłonił tylko głowę i pochód żalobny na dany znak przez niego wyruszył z grodu powoli, a Opat oglądając się, poszedł poważnym krokiem ku domowi.

Na podwórzu zostały tylko cicho gwarzące kupki ludzi, oczyma wiodące za Jaksami i poczynające rozchodzić się zwolna w różne strony, jakby przejęte żalem i trwogą. Od przywiezienia na gród dwóch braci wielkie tu było poruszenie. Mieli oni mnogich przyjaciół i towarzyszków wypraw wojennych, którzy mając na sumieniu więcej może, niż to, za co oni głowy nałożyć mieli, czuli się niespokojnymi. Dawno też już nie widziano króla Bolesława tak gniewnym, tak zapalczywym, tak strasznym.

Królowa Emnilda, zawsze biorąca stronę nieszczęśliwych i tym razem padała do nóg króla, aby życie skazanych uprosić, Bolesław słuchać jej nawet nie chciał i z groźbą i fukiem odprawił.

Dano zaledwie czas do następnego ranka osądzonym, aby się na śmierć przygotowali. Zdawało się, iż żadnej już dla nich nie było nadziei, i że nic ich uratować nie może.

Na dworze królowej smutek stąd i żal był wielki. Emnilda siedziała z rękoma założonemi zamyślona i zapłakana.

Pani to była nie pierwszej już młodości, lecz w jej postawie i twarzy wiele się jeszcze wdzięku zachowało. Oczy tylko nieco w głąb zapadły i kilka zmarszczek na czole wystąpiło. — Ale wyraz spokoju i rezygnacyi chrześcijańskiej, jaki na jej pięknej jeszcze widniał twarzy, urok młodości zastępował.

Komnata, w której królowa siedziała, obwieczona była obiciami przez królową szytymi, i pełną była oznak i godeł pobożnych. Krzyże na wszystkich stały sprzętach i wisiały na ścianach, kropielnica srebrna u drzwi wisiała. Królowa, ocierając łzy, siedziała dość długo w myślach zatopiona, gdy nagle z poza zasłony u drzwi rozległ się płacz stłumiony.

Poruszona tym głosem królowa powstała, uchyliła zasłonę u drzwi prowadzących do komnaty panien służebnych królowej, i ta ujrzała jak dwa dziewczęta cucili trzecią, leżącą omdlałą na ławie. Królowa zdziwiona zbliżyła się do indlejącej dziewczyny, gdy ta nagle podniosła się i składając ręce, upadła przed nią na kolana.

Blagająca ta cudnej piękności dziewczica była to Teodora, córka ochmistrza królewskiego dworu Sieciecha, a królowej Emnildzie jak własna córka ulubiona. Królowa przyczyny tych łez i rozpaczy

pojąć nie mogła, bo od wszystkich kochane i pieszczone dziewczę skarżyć się nie miało powodu.

— Ocal go, Miłościwa pani, ocal — krzyczała z płaczem Teodora — albo i mnie niech razem z nim stracą!

Królowa Emnilda skinęła na towarzyszki Teodory, aby wyszły, i zwolna podnosząc ją z ziemi, spytała łagodnie:

— O kim mówisz dziecię moje, nie rozumiem cię.

Ze słów łkaniem przerywanych, młodej dziewczyny, dorozumiała się królowa, że od dwóch już lat pomiędzy piękną Sieciechówną a Jurgą Jaksem, w czasie świąt obchodzonych na grodzie związał się stosunek miłosny. Ile razy Jurga był w Poznaniu, znalazł zawsze sposobność widywania się z piękną Teodorą, i wnet przyszło do tego, że jej po cichu zapowiedział już swaty. Nieszczęsna ruina majątkowa i bieda, w jaką dwaj bracia popadli, wstrzymała jego zamiar, ale na dworze już o wszystkim wiedziano. A że ojciec nie byłby pozwolił Teodorze wyjść za mąż za ubogiego, więc czekano lepszych czasów. Nagle wśród tych mów o przyszłym szczęściu, młoda dziewczyna dowiedziała się, że Jurga na śmierć skazany. Rozpacz ją ogarnęła, niepomna wstydu niewieściego, pobiegła do królowej, jakby do matki.

— Dziecko moje — rzekła królowa — choć nie wiedziałam, że Jurga jest kochankiem twoim,



Ocal go, Miłościwa pani, ocal — krzyczała
z płaczem Teodora, — albo i mnie niech razem z nim
stracą!...

chodziłam do króla błagać go o przebaczenie dla tych dwóch braci — ale nic to nie pomogło.

— Pani moja! — zawołała, łkając dziewczyna — jeśli on stracony będzie, pošlijcie mnie gdzie do klasztoru, już świata znać nie chcę!

— Bóg tylko jeden ocalić go może — rzekła królowa — lecz uspokój się dziecię, uczynimy, co w ludzkiej jest mocy.

Dziewczęta służebne, którym odejść kazano, przestraszone rozpaczą Sieciechówny, pobiegły do jej ojca, a ten pospieszył do ukochanej jedynaczki; w chwili gdy królowa wychodzić miała, Sieciech stary zjawił się na progu.

Ujrawszy córkę zapłakaną, klęczącą na ziemi z podniesionemi do góry rękoma, zbliżył się do niej przestraszony.

Teodora, której dodawało odwagi niebezpieczeństwo, objęła nogi ojca, wołając i nie tłumacząc się jaśniej.

— Ojczy mój ukochany, masz łaskę u króla! wyproś! wybaw go od śmierci!

Zdumiony ojciec, dla którego miłość córki dla Jurgi dotąd tajemnicą była, zwrócił się do królowej.

Z jej ust dopiero usłyszał, o kogo prosiła Teodora, spuścił siwą głowę i stanął, jak skamieniały.

— U króla! ... u króla wyprosić łaskę, gdy poprzysiągł — szepnął głosem złamanym — tego ani nasza Miłościwa Pani, ani Opat Aron, ani święty

nasz Męczennik, św. Wojciech, gdyby wstał z grobu, nie potrafiłby pewnie... a cóż ja?...

Teodora ciągle zanosiła się od płaczu, królowa tulić ją i pocieszać zaczęła, stary Sieciech stał zadumany.

Milczenie trwało dość długo, gdy nagle dziewczę podniosło się z ziemi i z błyszczącymi oczyma zawołało, całując ręce królowej:

— Pani moja miłościwa! słyszeliście co ojciec mówił... on zna króla! Odważ się Miłościwa Pani! Ocalmy ich mimo wiedzy króla!... dla niego samego ich ocalmy!

I rzuciła się znów na kolana.

— Wiem, słyszałam — mówiła — że ich w więzieniu tracić mają. Nikt widzieć nie będzie... Wy rozkazać możecie, kat rękę powstrzyma, niechaj zostaną ukryci w więzieniu, aż się gniew pański uśmierzy... Nikt ciebie Pani nie zdradzi, bo was wszyscy miłują... król nie spyta...

Gdy odważna dziewczyna wymawiała te słowa, Sieciech i królowa zamilkli strwożeni na samą myśl nieposłuszeństwa temu, którego gniew był jak piorun groźny.

— Dziewczę szalone — rzekła po chwili milczenia Emnilda — wiesz-że ty, czego śmiesz żądać ode mnie? Byłam zawsze posłuszną woli króla, ale z latami serce jego dla mnie ostygło. Nie jestem już dla niego ukochaną, jedyną. Gdybym mu się stała nieposłuszną, radby się może mnie pozbyć, jak się

pozbył matki Bezpryma i córki Rygdaga. Przez ten czyn, którego po mnie wymagasz, na siebiebym wyrok wydała, i na sumienie króla...

Królowa mówić przestała; Sieciech zadumał się smutnie. Córka błagała o ratunek, gdzie już żadnego nie było.

— Miłościwa pani — odezwał się wreszcie — płonne są obawy wasze, król ma dla was serce i poszanowanie. Któż wie, ażaliby wdzięcznym nie był, gdybyś go od własnego gniewu ratowała?

Królowa zamyśliła się trwożliwie.

— Kto wie? Kto wie? — powtórzyła z cicha. — Życie dwóch ludzi, którzy za grzechy swe odpokutować czas będą mieli, czy nie więcej warte, niż mojego szczęścia ostatek? Mieszko i Dobromir już matki nie potrzebują, we dworze mnie młoda Ryksa synowa zastąpi...

I znów łzy z oczu jej się potoczyły.

Ta iskierka nadziei w szal wprawiła Teodora; padła do nóg królowej i całować i ścisnąć ją zaczęła. Sieciech stał niemy, nie śmiejąc ani namawiać królowej, ani jej odradzać.

Emnilda zbliżyła się do niego i szepnęła:

— Proście do mnie ojca Arona — a wracając do Teodory rzekła:

— Odejdź stąd, uklęknij i módl się. Wszystko jest w mocy Boga, ale jego woli nigdy się sprzeciwiać nie trzeba. Idź dziecko moje w spokoju.

To powiedziawszy, wróciła królowa do pierwszej komnaty i doszedłszy do klęcznika swego, padła na kolana i gorąco modlić się zaczęła.

Długi dość czas upłynął, nim przybył Opat.

— Ojcze mój, rzekła drżącym głosem królowa — rady twojej proszę. Radźcie nie jako królowej, ale jako ubogiej niewieście chrześcijańskiej. Godziż się dla ocalenia żywota ludzkiego kłamstwo popełnić?

Zdumiony Opat stał przez chwilę milczący.

— Miłościwa pani — rzekł po namyśle — ojcowie Kościoła nawet są w tym względzie różnego zdania. Sumieniu spowiednika i rozumowi kapłana zostawia Kościół ocenienie czynu. Bóg waży tajemne myśli człowieka, ludzie sądzą... potępiają.

— Wyznam wam jak na spowiedzi — rzekła królowa, patrząc bystro w oczy Opata — kuszona jestem, abym dla ocalenia skazanych zbyt porywczo przez męża mego na śmierć dwóch młodzieńców, kłamstwo popełniła i ludzi do popełnienia go skłoniła. Wiecie Ojcze o kogo chodzi! Są to dzieci znacznej rodziny, która króla odstąpi i gniewna i z całym mieniem wyniesie się z kraju, hańbę unosząc z sobą. Mam-że odważyć się na niełaszkę męża mojego i pana, i wziąć grzech na sumienie, ażeby spełnić miłosierny uczynek?

Opat widocznie był wzruszony tak wielką królowej ofiarą, patrzył na nią z uwielbieniem i niedowierzaniem zarazem.

— Wiem, co czynię — mówiła dalej Emnilda — wiem, że król nieposłuszną żonę wypędzić może z przed oczu swoich i postradać mogę dzieci, jedyne moje szczęście, ale nie nakazał-że Chrystus Pan nasz i Zbawiciel ofiary czynić, tak jak on sam za nas stał się ofiarą?

Opat słuchał zdumiony, powoli schylił głowę przed królową, ręce na piersiach złożył i o krok się cofnął.

— Nie grzech popelnisz, miłościwa pani — rzekł — ale zasługę mieć będziesz u Boga. Sumienie twe mocą kapłańską rozgrzeszam. Lecz... choć ukochanej naszej królowej i pani, znajdziesz się człowiek tak śmiały, tak pobożny, coby jej chciał być posłusznym? Ważysz Wasza K. M. wiele, ale ten co cię posłucha wbrew rozkazowi pańskiemu, więcej jeszcze ważyć musi, bo głowę i życie.

— Ojczy mój! — zawołała królowa z błyskiem radości na twarzy — to sprawa moja, sama odpowiem za wszystkich, jedna będę winną.

To mówiąc, zdjęła z palca kosztowny pierścień.

— Na pamiątkę dnia tego — rzekła — przyjmijcie mały ten dar ode mnie. Daliście mi męstwo, przynieśliście uspokojenie... Bóg niech wam zapłaci. O tajemnicę prosić was nie potrzebuję — dodała w końcu — od niej zależy ich życie... a może i moje. Lecz czas upływa!

Gdy Opat odchodził zamyślony, królowa znikła już z komnaty, a obróciwszy się, usłyszał tylko szelest jej sukni i drżącą zobaczył we drzwiach opone.

Noc była nadeszła. Na zamku cisza zapanaowała.

Więzienie, do którego wrzucono dwóch Jaksów, znajdowało się opodal dworca, do wałów przyparte. Były to ciemnice do połowy w samym nasypie ziemnym skryte. Ciężkie wrota w żelazo okute, a przy nich mniejsza furtka mocno zaryglowana, wiodły do izb dla więźniów przeznaczonych.

W jednej z tych izb, właśnie trzeciej od wejścia na garści słomy w ciemnościach leżeli teraz Andruszka i Jurga. Znosili mężnie swą niedolę, już się nie spodziewając ocalenia. W tej ostatniej godzinie ich miłość braterska wzmagała się jeszcze. Jurga siebie obwiniął, Andruszka jako starszy winę na siebie przyjmował, każdy gotów był na śmierć z radością, gdyby tem brata mógł ocalić.

Leżąc na słomie obok siebie, liczyli chwile pozostałe. Za każdym szelestem w podziemiu, zdawało im się, że już krwawy pieniek o drzwi uderzy i na śmierć powołani zostaną.

Wtem koło drzwi coś skrobać poczęło.

Przez szpary zabłysło światelko słabe, opadł drąg drzwi przyciskający, stróż więzienny, którego nie wiedzieć dlaczego Rybą zwano, wsunął się do lochu, z pękiem łuczywa w ręku.

W kożuchu na gołym ciele, z nogami skórą obwiązanemi, z kudłatą głową i oczyma wypukłemi, człowiek ten straszny był, jak kat, którego też nieraz zastępować musiał.

Gdy Ryba wszedł, bracia mimowolnie przycisnęli się do siebie, dłonie ich mocno się ujęły, serca mocno uderzyły — sądzili, że już po nich przychodzi. Stróż wziął przy otwieraniu pozostawiony za drzwiami dzbanek i kawał czarnego chleba, którym był dzbanek przykryty i przystąpił z nim do barłogu.

Andruszka nań popatrzył:

— A co nam po tem? — rzekł — wszak dziś?...

Ryba zmierzył go wypukłemi oczyma, wstrząsnął głową i nic nie odpowiedział, powlókł się do drzwi, które zatrzasnąwszy za sobą już miał drągiem zawałać, gdy usłyszał szmer u wejścia, niby sprzeczkę. Drąg opadł, światło zwróciło i Opat tyniecki w czarnym, długim płaszczu wszedł wolnym krokiem do więzienia. Ryba, podniósłszy w górę łuczywo przyświecał w progu, z miejsca się nie ruszając. Obaj bracia na widok duchownego powstali. Znali od dawna Opata Arona, ulubieńca Bolesławowego.

Wszedłszy, odezwał się Opat, że im pociechę chrześcijańską przynosi i spytał, czyby rodzinie nie mieli co do przekazania, lub prośby jakiej przedśmiertnej, którejby zadość mógł uczynić.

Mówiąc to spoglądał dziwnie na stróża.



Opat tyniecki w czarnym, długim płaszczu wszedł wolnym krokiem do więzienia...

Niezrozumiałe zaprawdę były to odwiedziny. Jaksowie już przez kapelana królewskiego na śmierć przygotowani, jemu też wszystkie swe zlecenia przekazali.

— Mój Ojczy, rzekł smutnie Andruszka — nie pozostało nam prosić o nic, chyba o modlitwy za dusze.

— To obowiązek kapłański — odezwał się Opat, ale człowiek do ostatniego tchnienia w miłosierdziu Bożem i cudach Opatrzności nadzieję mieć powinien. Tam, gdzie prośby nawet umarłych nie pomogły, Bóg poradzić może.

Słowa te wymówił Duchowny znacząco i z naciskiem, a więcej jeszcze wzrok jego mówić się zdawał.

Andruszkę uderzyło to tylko, że Opat wspominał o prośbie umarłych.

— A któż umarły mógł wstawiać się za nami? — zapytał smutnie.

Opat w krótkich słowach opowiedział dwom braciom o szlachetnym postępku starego Janka Jaksy i jego syna.

Obaj bracia słuchali zdumieni.

— Któżby się tego po tak zagniewanym stryju był mógł spodziewać — szepnął Jurga.

— Cóż król na to odpowiedział? — spytał Andruszka. Opat milczał, a z tego łatwo się domyślili bracia, że się zmiękczyć król nie dał.

— Ojcie mój — odezwał się Andruszka — nie złorzeczę wyrokowi pańskiemu, i życia nie żałuję. Zasłużyłem na karę, bom był głową domu, ale też na mnie jednego spaść była powinna sprawiedliwość i pomsta pańska. Jurga powinien był ocalać, abyśmy z całym rodem nie ginęli.

— A! niechby los ten padł na mnie! — przerwał Jurga — jam więcej winien, bom się pierwszy dał namówić.

W tej chwili dwaj bracia spojrzeli sobie w oczy przy blasku łuczywa, zarzucili sobie ręce na ramiona i głowy ich oparły się o siebie w serdecznym uścisku i jęk bolesny rozległ się w ciemnicy.

Opat patrzył na to z niewysłowionem zdumieniem. Widział on już nieraz dwóch współników zbrodni, którzy winę i karę wzajemnie na siebie zrzucać usiłowali, ale nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać ludzi, coby idąc na śmierć, wyręczać się i jeden za drugiego ginąć chcieli, potrząsał więc głową, jakby tego pojąć nie mógł.

— Miejcie nadzieję w miłosierdziu Bożem — cicho szepnął Opat.

Obaj bracia zbliżyli się, aby rękę jego ucałować, a on powtórzył im dobitnie, po cichu:

— Módlcie się i miejcie nadzieję... miejcie nadzieję!...

I pobłogosławiwszy ich, wyszedł spieszno. Ryba drzwi za nim zatrzasnął i drąg założył.

Dwaj bracia zostali znowu w ciemnościach; słaby tylko promyczek nadziei przyświecać im teraz zaczął. Po długiej z sobą rozmowie o stryju Janku, któremu się mimowolnie do śmierci przysłużyli, zasnęli wreszcie. Wtem zbudził ich szelest i stąpania, kroki ludzkie wyraźnie się ku ich drzwom zbliżały. Zaczęto odwalać drąg i światło zabłysło, Jurga i Andruszka, widząc nadchodzącą chwilę śmierci, rzucili się sobie w objęcia i uściskali. Gdy oczy podnieśli, ujrzeli w izbie pełno ludzi. Pachołkowie to byli jacyś zakapturzeni, i wskazywali im ręką tylko, aby natychmiast wstawali i szli za nimi.

Ryba stał oparty o drzwi i ciekawie się przypatrywał, przecierając zaspane oczy.

Kata widać nie było. Pomimo to obaj bracia wstali w tem przekonaniu, że ich wiedą na stracenie. Ujęli się za ręce i wyszli razem. Pachołkowie obstąpili ich dokoła, ale nie mogli wcale zmiarować, dokąd ich prowadzą. Czas jakiś przyświecał Ryba łuczywem, potem światło to zgasło, a oni uczyli owiewające ich powietrze mroźne. Postępowali w milczeniu, pod nogami czując to ziemię zmarzłą, to skorupę lodu. Wtem ścisnęli się pachołkowie i wprowadzili zdziwionych braci do ciemnej budowy. Wnet wszyscy się cofnęli i bracia pozostali sami w nowem ciemnem więzieniu. Jurga, wyciągnawszy rękę, uczuł mur zimny, podłoga była z desek zrobiona. Gdy oczy ich oswoiły się z ciem-

nością, spostrzegli u góry okienicę, przez której szczeliny wciskało się blade światło. Dokoła głu-cha panowała cisza, kiedy niekiedy przerywana szmerem, jakby ludzkiego stłumionego głosu, który brzmiał jak oddalony śmiech powolny.

Nikt nie przychodził.

IV.

Nazajutrz wcześniej, niż zwykle, wielki król wstawał z łoża posępnym, ciasno mu było w sypialni, duszno w zamknięciu, ściany go ścisnęły, jak więzienie.

Przez szczeliny zamkniętych okienic przeciskał się szarawy dzień, na kominie ogień płonął trzaskając wesoło.

Pierwszy po stróżu, co ogień rozniecił, wszedł do sypialni stary Sieciech, gładząc brodę i uchy-lając głowę. Przybył po rozkazy.

Król długo nań popatrzył nim się odezwał, a pierwsze jego słowa były:

— Cóż? Jaksów stracono?

Rozkaz królewski wczoraj wydany brzmiał, że dnia doczekać nie mieli, a dzień biały cisnął się przez okienice.

Sieciech milczał; skłonił tylko głowę, król po-patrzył znów bystro na niego. Twarz króla jeszcze surowszą i posępniejszą się stała.

— Miklasza Jakse, który tu ojca przywiózł, przywołać do mnie — rzekł po chwili milczenia.

Sieciech głową potrząsł dziwnie jakoś zafrosowany.

— Miklasz, miłościwy Panie, wedle przykazania ojca na śmiertelnem łożu, nic nie zyskawszy, musiał zaraz wczoraj odjechać ze zwłokami. Wola ojca jego świętą, nie ujrzą go tu już oczy nasze. Zakłęli się Jaksowie wszyscy i ich powinowaci, że progu zamkowego nie przestąpią odtąd... Wszyscy, ile ich jest! — kończył Sieciech z westchnieniem.

Zarumieniła się, jakby krwią oblana, twarz króla, spojrzał groźnie, lecz nie wybuchnął.

— Dziś do dnia — mówił Sieciech — Jaksów powinowaci, dwóch najdzielniejszych naszych dowódców, Śreniawa i Pobóg pojechali też ze dworu z swoim poczem.

Zaczerwienione oblicze pańskie mocniej jeszcze zapłonęło, drgnął i jakieś ciche przekleństwo z ust mu się wyrwało; Sieciech stał z głową spuszczoną.

— Pozwijcie Opata Arona do mnie — zawołał król nagle.

— W tej chwili Mszę świętą odprawia — rzekł Sieciech.

Na to nic król nie odpowiedział i Sieciech wyszedł po chwili.

Zaledwie Sieciech odszedł, gdy do sypialni wcisnął się mały człowieczek, karzeł darowany niegdyś królowi przez Guncelina, przyrodniego brata jego. Mały Zyg dla zjadliwego dowcipu łaskę miał wielką u króla. Wolno mu było mówić wiele, musiał

jednak patrzeć na marszczące się brwi króla, aby nie przebrać miary. Dziś spojrzawszy na groźnie zachmurzoną twarz króla, stanął bojaźliwie w kącie z rękoma na piersiach założonemi, i zbliżył się dopiero, gdy król spostrzegłszy go, zapytał:

— Przybył tam kto nowy na zamek?

— Pełno, miłościwy panie, pełno, objedzą nas do pruszynki... Przybył z Rusi książę Turowski, z całym stadem koni, z Niemiec jakiś Bawar, od Wendów starszyzna z całą kopą głów różnych... Za to Śreniawy i Pobogi, pojechali, bo się na Waszą Królewską Mość pogniwiali i chcą wojnę wypowiedzieć... ha! ha! ha! to będzie dopiero wojna!

Zyg rozśmiał się, lecz spojrzawszy na groźne oblicze króla, zamilkł i skrył się za komin i potem przysunawszy się do drzwi, rzekł z pokorą:

— Czołem Waszej Królewskiej Mości — i zniknął.

Po jego wyjściu król klasnął w dłonie, weszło dwóch dworzan komorników, tym kazał się ubrać i w kożuchu siadł przed ogniem palącym się na kominie.

W chwilę potem Opat Aron ukazał się we drzwiach. Na jego widok twarz pańska widocznie się wyjaśniła.

— Chciałem widzieć Was, Ojczy — rzekł król tonem poufnym — całą noc sny mnie dziwne dręczyły. Zmora mi pierś dusiła. Zdało mi się, jako-

by całe wojsko cesarza Henryka na mnie legło i zgnieść mnie chciało... Z nimi choćby się poprzyjęła przyjaźń i zgoda, pokoju nigdy nie będzie...

Opat uśmiechnął się łagodnie.

— Nic teraz nie grozi nam przecież — rzekł — król Bolesław dość jest mocny, aby się nie obawiał nikogo, nawet cesarza niemieckiego.

— Mocen! mocen! — powtórzył król — ojciec mój, moc ta moja jest jako sznur naprężony — mocny to prawda — ale lada chwilę pęknąć może. Trwogę siać muszę, abym sam jej nie miał.

Zamknął na chwilę patrząc w ogień, a potem zapytał:

— Jaksów stracono?

Czuć było, że ich miał na myśli, że to nie wojsko cesarskie, ale oni byli dlań tą „nocną zmorą.“

— Nie wiem — rzekł Opat krótko.

— Tak zginęli — dodał Bolesław, zginęli, szkoda mi ich, ale nieubłaganym być musiałem. Rycerstwo żelazną dłońią trzymać trzeba. Straciłem nie tych dwóch Jaksów, ale cały ród ich... Ubędzie mi rąk dzielnych, przymnoży się gniewu i niechęci...

— Miłościwy panie — przerwał Opat — co się stało, o tem rozważać już za późno...

— Mój Ojciec — mówił nie dając sobie przerwać Bolesław — królewska wola, gdy ją raz objawił jest rzecz niepowrotna. On sam jest jej niewolnikiem. Nie podałem też nigdy tyłu ani w bi-

twie ani w sądzie... Gniewny byłem, gdym ich skazywał, alem słowo rzekł:

— Gniew zły doradca zawsze — przerwał Opat. Słyszę, że oprócz Śreniawów i Pobogów, dwu Starzów krewnych ich i Lis, odjeżdżają też ze dworu.

Król gniewnie machnął ręką.

— Niech idąc! niech idą! — rzekł.

Lecz widocznie go to bolało. Lecz jakby umyślnie zwracając na co innego rozmowę, rzekł do Opata:

— Czyście myśleli, o czem wam mówiłem wczoraj?

— Nieustannie — odparł Aron — myślałem i modliłem się, miłościwy panie.

— Zrozumiałeś mnie — ciągnął król ożywiając się — patrz, pocynam być starym, włos mi siwieje... ociężałem, a jednak noc i dzień słucham ażali nad granicami krzyk się nie odezwie... Grozą tylko mogę powstrzymać napastników... Ta groza dla mnie, dla syna będzie koroną królewską na skroni... Synowi potrzeba koniecznie korony w Rzymie pobłogosławionej. Otto III, niech Bóg świeci nad duszą jego, własną swą koronę cesarską włożył mi na skronie. Za berło dał mi włócznię św. Maurycego, a jednak przeczą mi tytułu, króla i korony. Mieć ją muszę.

Ognistemi oczyma spojrzął na Opata, który stał milczący ze spuszczoneym wzrokiem.

— Cóż mówisz ojcze? — począł król znowu — tyś najlepszym doradcą moim, widzisz jasno, radzisz rozumnie i rozważasz wszystko.

— Miłościwy panie — odezwał się po długim namyśle Opat — nie przeczę, że blask korony doda świetności twej skroni, a siły Mieczysławowi i nie sądzę, by kto nad ciebie był jej godniejszym, lecz...

— Cóż więc? — zapytał król porywczo.

— Królu i panie — ciągnął Aron — korona nie tyle zwiększy twą potęgę, co złości i zawiści obudzi... Sam cesarz Henryk w Rzymie stawia na przeszkodzie nie tylko u Papieża, ale wszędzie szkodzić nam będzie.

— A Ojciec św. Benedykt ma mu być poddanym — zawołał Bolesław — nie jestże on następcą Chrystusa i rozdawcą wszystkich koron świata?

Opat stał milczący i zadumany, król nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

— Otto III dał mi koronę... przyrzekł mi ją pobłogosławioną. Śmierć nie dozwoliła mu wykonać tego, co ślubował. Z jego zgonem odpadła także połowa siły mojej. Odtąd iść trzeba było przebojem i we krwi brodzić.

— Nie możesz miłościwy Panie uskarżać się na niepowodzenie — szepnął Opat Aron.

— O! Pragi! Pragi straconej nigdy nie zapomnę! — zawołał Bolesław — ale z Czechami rzecz nie skończona — ciągnął Bolesław, jakby sam do siebie. — Dwoje państw jednego języka obok sie-



— Niechże mi tę moc dla syna da następca Boży
— zawołał król — a tą mocą jest korona! ...

bie istnieć nie może. Dwa wilki głodne nie pasą się obok siebie... jeden drugiego rozszarpać musi... Ale czy Mieszko temu podoła?

— Wszystko jest w mocy Bożej! — rzekł Opat chłodno. — Maleńki Dawid zwyciężył Goliata.

— Niechże mi tę moc dla syna da następca Boży — zawołał król — a tą mocą jest korona! Korony mi trzeba! Ona mi się należy i mieć ją muszę!

— Jest to sprawa zbyt wielkiej wagi! — rzekł poważnie Opat — sprawa zbyt niebezpieczna i ślizga, aby ją można brać lekko... rozważać potrzeba wiele.

— Więc na was składam obmyślenie środków i wykonanie, Ojcze — rzekł Bolesław. — Znacie drogi do Rzymu i w Rzymie. Nie siedzi dzięki Bogu na Stolicy Apostolskiej nieprzychylny mi Papież. Ojciec Benedykt skłoni serce swoje do nas...

Dzień już był jasny, król ruszył się z przed ognia, czekano nań bowiem na dworze. Opat Aron nic nie odpowiedziawszy, pokłonił się i wyszedł do izb gościnnych, w których już wszyscy obcy i dwór cały był zgromadzony. Nadchodziła godzina posłuchania i obiadu, w owych czasach bardzo wczesnie podawanego.

Wielka izba, w której stały dla gości zastawione były i izby poboczne były pełne ludzi z różnych krajów przybyłych. Poznać to było po ich stroju.

Całkiem osobno w pierwszej izbie stała królewska drużyna. Było to dwunastu mężów w wojnach i życiu wypróbowanych, którzy nad dwunastu krajami podległymi Bolesławowi mieli zwierzchnictwo. Najdzielniejsi w bitwach, służyli także w czasie pokoju królowi do rady. Gdy z nich który poległ na wojnie lub umarł wiekiem złamany, król następcę jego mianował.

Teraz właśnie zmarł był niedawno stary Jakób Lis, po którym stało opróżnione miejsce w radzie i u pańskiego stołu. Kto miał być spadkobiercą jego, wcale się nie domyślano.

Chociaż Sieciech, Opat tyniecki i Zyg najpierw oznajmili królowi, iż wszyscy krewni Jaksów od dworu się oddalili, stary Pobóg stał jeszcze sam z nich wszystkich u progu wielkiej izby, wraz z dworem króla i odtąd się nie oddalił. Konie tylko i ludzie w podwórzu czekali gotowi do podróży. Wsparty na kutym kiju z rękojęścią młotem opatrzoną, stary wódz z twarzą bólem pomarszczoną, zdawał się czekać na coś u progu. Sieciech zbliżył się do niego.

— Gdzie król? — spytał Pobóg — dlaczego nie przybywa?

— Przybędzie za chwilę — odparł Sieciech, a potem cicho szepnął — jest-że to prawda, co słyszę, że chcecie dwór opuścić? drużyna wasza stoi przed drzwiami.

— Tak jest, niezawodnie — krótko odrzekł Pobóg.

— Dlaczego?

— Wy wiecie!

— Śreniawy i Lisy pojechali w milczeniu, nie żegnając pana — zamruczał Sieciech — tak lepiej...

— Co komu lepiej! — odparł Pobóg.

Wtem stał się wielki ruch; umilkły gwary; zdala rozległo się powolne, ciężkie stąpanie. W oddaleniu ukazał się król, okryty aksamitną szubą sobolami podszytą, z kołpakiem na głowie, mieczem u boku, który go nigdy nie opuszczał, w rękę zaś trzymał laskę. Był to ów sławny Szczerbiec.

Za królem szło sześciu komorników i cały dwór służebny. Bystrem okiem obejrzał król wszystkich, którzy rękoma zwieszonemi ku ziemi witali nadchodzącego pana. Doszedł tak król wolnym krokiem aż do drzwi wielkiej izby, gdzie w progu stał Pobóg. Król rękę położył zwolna na ramieniu starcowi i spojrzawszy nań, czoło jego rozchmurzyło się nieco.

— Pobóg — rzekł król — czeka na ciebie opróżnione dwunaste miejsce po Lisie, tobie je przeznaczam, tyś jeden godny.

Wszyscy otaczający zdziwili się; nikt się snąć nie spodziewał tego. Starzec nieporuszony stał posępny.

— Nie miłościwy Panie — odparł starzec po chwili milczenia chłodno i śmiało. — Nie jestem godzien siedzieć u stołu Twojego. Krew Jaksów płynie w mych żyłach. Przybyłem podziękować

Wam miłościwy Panie za łaski wszelkie i pożegnać. Za moim szwagrem Jankiem pojedę... tam miejsce moje, gdzie wszyscy nasi...

Śmiałej tej mowy słuchając, wszyscy przytomni pobledli z przestachu. Bolesław brwi zmarszczył groźnie, ręką mimowolnie za miecz uchwycił i popatrzył bystro na wyzywającego śmiałka.

— Stary jesteś — rzekł wreszcie — biłeś się mężnie wraz ze mną pod Bugiem i Weltawą, głowy ci nie zdejmę. Idź z Bogiem! — i ręką gniewnie wskazał poza siebie.

Pobóg uklonił się w milczeniu i wolnym krokiem oddalił się wśród ustępujących mu z drogi przestraszonych dworzan. Król po odejściu starca, ochłonawszy z gniewu zwrócił się do Węgrów, pytając ich o różne rzeczy.

Wedle obyczaju zachodniego, niewiasty na dworze królewskim także do stołu zasiadały. Wiodła je zwykle z sobą królowa, to też i teraz właśnie w głównych drzwiach ukazała się z całym szeregiem niewiast.

Królowa Emnilda skromnie w ciemną suknię była ubraną. Nieco klejnotów włożyć nakazywała jej dostojność, były one bowiem oznaką godności królewskiej. Tuż obok niej szła w purpurowej, złotem wyszywanej szacie, jaśniejąca klejnotami i pięknnością Ryksa, żona syna królewskiego Mieszka, córka Errona palatyna Renu, z siostry cesarza Ottona zrodzona. Mimo młodość i wdzięk, surowy

i zimny wyraz jej twarzy, obudzał raczej obawę niż cześć i uwielbienie. Z córek królewskich była tylko Matyllda, która szła za królową w dziewiczym wianku na głowie i szacie z błękitnego jedwabiu. Postępujące za królowemi panie dworskie, wszystkie z niezmiernym przepychem były postrojone. Starsze niewiasty, żony władyków i dowódców miały na sobie pełno klejnotów, po kilka złotych łańcuchów na piersiach i pierścieni na palcach. Największa rozmaitość jaskrawych barw orszak ten odznaczała.

Wśród tych strojnych niewiast widać też było Teodorę, córkę Sieciecha, górującą nad wszystkimi wzrostem i pięknnością. Szła widocznie jak zmuszona, usiłując daremnie zmuszać się do uśmiechu. Na innych też twarzach, nie wyjmując królowej, rozlany był głęboki smutek. Emnilda nieśmiało bojaźliwie nieomal spoglądała na oddających jej cześć i ukłony.

Gdy szelest sukni niewieścich dał się słyszeć, król ku wchodzącym obrócił się jakby rad, że może przerwać powitaniem, rozpoczętą rozmowę z Węgrami.

Tuż za niewiastami wchodziły pacholęta niosące srebrne misy z potrawami, dzbany z winem, nalewki, miednice i ręczniki. U pańskiego stołu zasiadały tylko niewiasty królewskiego i powinowatego mu rodu, tu też miejsce było jednej z pań królowej, Ody, córki margrafa Ekarda. Przebywała z woli

ojca na dworze w gościnie u królowej, choć Emnilda od niejakiego czasu chłodno i z niejaką nieufnością się z nią obchodziła.

Po Ryksie, żonie Mieszkowej, była to najpiękniejsza na dworze niewlasta, ale równie jak ta jej spółrodaczka dumna i niemiła.

Gdy już zasiadano do stołu wszedł Opat tyński Aron, dla którego miejsce przy królewskim stole było zostawione. Lecz nim je zasiadł, odmówił głośno modlitwę i błogosławieństwo. Zjawił się i Zyg ubrany żółto, pół niebiesko, przy królewskim krześle, lecz czekał daremnie ażali Bolesław nie zagadnie go, i nie da mu się popisać z dowcipem; chmura, którą pan przyniósł dziś z sobą nie zeszła mu z czoła przy stole.

Przyczynę tego łatwo wszyscy odgadywali, — śmierć dwóch Jaksów wielce kosztowała tego co na nią skazać ich musiał. A groza i strach przejmowały wszystkich, aby starzejący się król nie nabrał smaku w okrucieństwie.

Król siedział ciągle chmurny przy stole — kilka razy podniósł wzrok na królowę, ale się z jej spojrzeniem nie spotkał. Ulubione psy królewskie otaczały stół, i chciwie chwytaly kości, które ciskać na podłogę było wówczas zwyczajem.

Cały nieomal obiad przeszedł bez rozmowy w milczeniu przerywanem tylko głosami z przyległych izb od stołów pochodzącymi. Niewiasty szeptały do siebie po cichu, król zamienił kilka słów z Opa-

tem, — królowa go o blizkie święta dopytywała i na tem zakończyła się cała biesiada.

V.

Pisarz Petrek, był to wychudły, zgarbiony człowieczyna, którego na dworze znano pod imieniem pisarza nadwornego; był jednym na grodzie królewskim (z wyjątkiem kilku duchownych) co pisać i czytać umiał. Załatwiał on tajne zlecenia. Żmija to była ogrzewana na miłościwem łonie łask pańskich, zazdrosna na wpływy Opata Arona, knująca jego zgubę, spiskująca z wrogami, gotowa na wszystko dla dogodzenia zemście i uzyskania wyższego stanowiska. Pisarz nadworny Petrek umiał się jednak tak zręcznie i chytrze obracać, że nikt, nawet — jak się jemu zdawało, nawet Opat Aron nie śmiał go o zdradzieckie czyny posądzać.

Oprócz swych obowiązków pisarza, z którymi wiele do czynienia nie miał, spełniał też inne tajne posługi na zamku, nie tak z gorliwości, jak raczej, aby się wcisnąć wszędzie i szpiegować. Najmniejsze drobnostki nie były mu obojętne.

Zwykł był także obchodzić więzienia, niosąc niejaką pociechę skazanym winowajcom i apostołował po trosze między czeladzią, pogańskimi przesądami jeszcze przesiąklą.

Mimo wcale nie ujmującej powierzchowności, umiał sobie przebiegły człeczyzna zjednać ludzi roz-

maitemi przysługami, dobrem słowem i datkami — to też dla niego wszystkie usta się chętnie otwierały.

Nie dziwiło to nikogo gdy Petrek tego dnia wieczorem, przechodząc się po ogrodzie, zbliżył się do wałów, w których się więzienia znajdowały. W otwartej sieni siedział stróż Ryba w kozuchu, a obok niego oprawca. Byli oni ze sobą w przyjaźni od dawna. Zobaczywszy Petrka, obaj natychmiast powstali a Ryba zbliżył się i pocałował go w rękę.

Petrek zwrócił się do kata.

— Gdzie Jaksowie siedzą? — zapytał jakby przez omyłkę.

Ryba i kat popatrzeni na siebie.

— A no ich do dnia jeszcze wyprowadzono na stracenie — odezwał się Ryba.

— Stracono ich? — spytał Petrek.

Ryba ramionami wzruszył, a kat się odezwał:

— Jam ich nie ścinał ani wieszał... a co ja wiem?

— Więc któż tedy? — zapytał nadworny pisarz.

Ryba i kat pomyśleli chwilę, nim się na odpowiedź zdobyli.

— Któż tam wiedzieć może — mruknął Ryba.

— Gdzież ich poprowadzono? za okopy — badał ciekawie pisarz.

— Ciemno było jeszcze — nie wiem — rzekł Ryba — dlaczego ich poprowadzili i gdzie? cóż nam do tego?

— Jeszcze tego nie bywało — odezwał się kat — żeby panów gdzieindziej jak tu tracono.

Wskazał ręką na głąb więzienia i dodał:

— Wieszają i na pal wbijają za okopami.

Pytający nic już nie odpowiedział i dla niepoznania o kilku innych więźniów zapytał.

Potem skinął głową dwom drabom i odszedł. Ryba z towarzyszem patrzeli za odchodzącym, potem spojrzeli na siebie potrząsając głowami, a kat pochyliwszy się do stróża zacząć mówić poufnie.

— Oj, jaki ten pisarzyna ciekawy, alem nie głupi gadać o tem, co do mnie nie należy. Wiem dobrze, co się z tymi dwoma braćmi stało... Gdy ich stąd wyprowadzili, wstałem z barłogu i poszedłem za nimi... Królowej to dworscy byli i zawieźli ich do książęcego domu, do izby w turmie... tam ich posadzili! — i to powiedziawszy zaśmiał się.

Stróż się uląkł.

— Tst! głupi! — zawołał — nie plóćbyś! a tobie co do tego? Toć pewno stało się to z rozkazu pana i króla... milcz i stul gębę!

Kat głową potrząsł i rzekł:

— Tyś sam głupi! co wiesz? z tobą o tem gadać nie warto! Król! królewskie przykazanie! ho! ho! To nie królewska rzecz? to pisarska! Urzędnicy tu i od króla mocniejsi, robią co chcą, komu chcą, życie odbiorą, komu chcą to dadzą lub powrócą! Prawdziwi czarodzieje! Dlatego też mówię, że lepiej milczeć... co nam do tego!

— Ej, kiedy to pisarza rzecz, toć ją pisarzowi można było powiedzieć — odezwał się Ryba.

— Jakiś ty głupi! — zawołał kat — alboż to on o tem nie wie, o co się pyta? Oni wszystko wiedzą! a on pytał, żeby nas wypróbować.

W czasie tej poufnej rozmowy dwóch drabów, Petrek szedł ku dworcowi królowej. Otworzył sobie furtę wiodącą w podwórko, obejrzał się dokoła i poszedł w głąb dziedzińca. Cichym, powolnym krokiem wszedł do sieni i udał się prosto do drzwi izby, która poprzedzała mieszkania Ody, córki margrafa Ekarda. W niej przed komnatą Ody siedziały postrojone Niemki przy kądzieli, służebne margrafowej. Gdy Petrek przemówił do nich w ich języku, zaczęły się uśmiechać wesoło.

Na zapytanie o panią wskazały mu drzwi, prowadząc go ku nim uprzejmie. W komnacie wspa- niale urządzonej i przystrojonej, siedziała Oda, w dumnej postawie, wsparta ręką nad krosnami.

Gdy wszedł Petrek, przywitała go poufnym uśmiechem, nie ruszając się z miejsca i wskazała mu ręką siedzenie obok siebie. Pisarz codzienny znać gość margrabinę, usiadł i rozpoczął cichą rozmowę po niemiecku.

— Cóż mi tam przynosicie nowego? — spytała najpierw Oda.

— Cóżbym wam mógł przynieść?

— Nie wiecie nic nowego o królu?

— Dziś nie widziałem jeszcze naszego miłościwego pana — odparł pisarz.

— Smutny jest ciągle... przeczuwa może, iż go oszukują... zwodzą — mówiła. Miłościwa pani, którą wszyscy za świętą uważacie, nie waha się potajemnie spiskować z wrogami małżonka i króla...

Petrek przez ostrożność udał wielkie zdziwienie, a Oda mówiła dalej:

— O tak! wien o wszystkim i lituję się nad królem. Chciał słusznie, sprawiedliwie ukarać tych łotrów... Czyż myślicie, że spełniono jego rozkazy?

Petrek ciągle jeszcze zdumienie udawał.

— Nie! oszukano go! okłamano!... Wykradziono ich!... żyją, aby się mścili... A kto to uczynił? Wasza świętobliwa królowa, którą tak pod Niebiosą wynosicie! Cóż wy na to?

— Ja? — zawołał Petrek — zdumiewam się, przerażam i milczę. To nie może być miłościwa Pani... któżby śmiał?...

— Tak jest! tak! — gorączkowo uderzając ręką w krosna, wołała margrafówna — wszyscy są tu ślepi, ale ja mam oczy... bo czczę i szanuję wielkiego króla. Oszukują go! Jam już na tropie tej tajemnicy:

Petrek podniósł się milczący.

— Bądźcie ostrożni miłościwa Pani — szepnęła ciszej. — Bądź ostrożną... tyle tylko powiedzieć

wam mogę! ... Ze względu czci, jaką mam dla was i dla ojca i zasadzek... Wasza piękność obudza zazdrość i niepokoję, robi wam nieprzyjaciół.

Z ufnością w siebie rozśmiała się piękna margrafówna pogardliwie i ręką znak dała, jak mało się lęka. Petrek odszedł skłoniwszy się pokornie.

Teraz udał się wprost do pomieszkania królowej Emnildy. Twarz jego przybrała teraz wyraz łagodności i łudzącej pokory.

Gdy uniósłszy zasłonę stanął w progu komnaty, miał pozór ubogiego, nieśmiało po jałmużnę przychodzącego.

Wspaniale przybraną była wielka izba żony Bolesława, a najpiękniej uderzał w niej ołtarzyk domowy, z klęcznikiem całym obitym złotymi gwiazdami. Królowa stała w pośrodku komnaty, z rękoma jakby do modlitwy złożonemi. Na zwiędłej jej twarzy malował się spokój i słodycz obok wielkiego smutku.

Królowa Emnilda pobożna i świętobliwa pani, miała szczęśliwy instynkt poznawania a raczej przeczuwania ludzi. To też ten uniżony, cichy, posłuszny na skinienie Petrek, obudzał w niej nieufność i obawę. Lubo Opat Aron, był często surowy nawet dla niej, czuła jednak dla niego poważanie i miłość. Petrek choć padał do jej nóg, budził w niej wstręt i trwogę.

I teraz, gdy go ujrzała zbliżającego się tym cichym, kocim krokiem, cofnęła się trwożliwie.

Pisarz po pierwszym powitaniu, rzekł pokornie:

— Ileż serce naszej miłościwej pani pod te czasy wycierpieć musiało! Czułem to najlepiej... ciężkie to zaprawdę były chwile... przecież Bogu dzięki skończyło się wszystko!

I badający wzrok zwrócił na królowę, która stała milcząca.

— Tak jest, cierpiałam wiele — rzekła po chwili milczenia królowa. Pragnęłam królowi a memu panu oszczędzić żalu i strapienia, lecz woli Bożej poddać się trzeba!...

— Dziś miłościwy pan — mówił Petrek — chmurniejszy pono niż zwykle. Już samo wykonanie wyroku na Jaksach smutkiem serce jego napęlić musiało... a cóż dopiero zuchwałe, nierozsądne postępowanie ich rodziny, która się cała odsunęła od dworu.

— Sądziecie, że kara tych dwóch młodzieńców pociągnie to za sobą? — niespokojnie spytała królowa. — Być-że to może? Lękacie się jakich skutków?

— Któż to obliczyć zdoła? — rzekł pokornie pisarz — rodzina można, liczna, spowinowacona z najpierwszemi w kraju... Słudzy, wierni poddani królewscy muszą być niespokojni.

— A ja też płaczę i niepokoję się — rzekła Emnilda — ale modłę się i mam nadzieję w miłosierdziu Bożem. — Wszechmocny Pan czyni cuda!

Petrkowi błysnęły oczy, bo ostatniemi wyrazy, nieomal się zdradziła królowa. W dźwięku ich przebiegły cudzoziemiec poczuł nadzieję, i domyślił się tajemnicy, po której wysłedzenie tu przyszedł.

Dla niego rozmowa była skończoną, wynosił z niej przeświadczenie, że Jaksowie za wolą i wiedzą królowej byli ocaleni, łagodnymi więc wyrazami zakończywszy rozmowę, skłonił się i odszedł.

Na tem zakończyła się jego przechadzka po zamku, a że już nadchodził wieczór, udał się zwolna do swego skromnego mieszkanka w podwórzu. Po drodze nikt mu się znajomy nie nastręczył. Dopiero u drzwi zastał czekającego nań niepoczesnego człowieka, średnich lat, którego ubiór oznaczał komornika królewskiego.

Petrek otworzył drzwi, wszedł pierwszy i wprowadził za sobą gościa. Tu palił się już ogień na kominie, i gdy zasiedli przy nim, pisarz zapytał:

— Cóż mi nowego przynosisz Harno? Co mówił król z Węgrami, nie wiesz?

— Groził im! — odparł po cichu zapytany — groził nie im tylko jednym, ale wszystkim... Zły był dziś bardzo... aż trwoga ogarniała...

— Pytał kogo o Jaksów?

— Nie wiem.

— Gdzie ich stracono?

— Mówią, że za okopami — mówił komornik.

— Saracz i Dudziak widzieli w tem miejscu ogromną krwi kałużę.

— Zdziwiony Petrek aż drgnął na krześle i brwi namarszczył.

— Czy to być może? — zawołał. — A któż ich stracił, bo nie kat więzienny?

— Pewnie uprosili sobie kogo z rycerzy, aby nie ginąć z ręki kata, i tę łaskę im wyświadczone — mówił Harno. — Ten co się tego podjął przez miłosierdzie, chwalić się z tem nie będzie.

Pisarz Petrek zamyślił się. Rzecz ta zdawała mu się bardzo prawdopodobną.

— A był kto przy ich straceniu? — zapytał.

— Nie wiem — odparł Harno. — Umyślnie pewnie do dnia to sprawiono, aby ludzkich oczów uniknąć... Nie wiem.

— Eh! ty to nic nie wiesz! — zawołał nieomal gniewnie pisarz Petrek. — A ciała? cóż z nimi zrobiono? Powinny być przecież na święconem miejscu pochowane.

— Pewnie je rodzina zabrała — odparł zafrosowany Harno.

Pisarz Petrek zbliżył się do ucha wiernego swego sługi i zaczął mówić po cichu:

— Wiesz, na dworze gadają, że Jaksowie nie straceni, że im ktoś dopomógł do ucieczki...

— To nie może być! a kałuża krwi! — zawołał z oburzeniem Harno.

— Dojdźże mi tego, kto to takie teraz sieje baśnie — zamruczał pisarz. — Kto wie, mógł się

też ktoś ośmielić i skazańców ocalić... śledź, dowiaduj się, podpatruj.

Komornik popatrzył na pisarza, westchnął i widząc, że rozmowa skończona, pocałował go w rękę i odszedł.

VI.

Król Bolesław spędziwszy posępnych dni kilka przy ognisku, ruszył się nagle oznajmiając łowy. — Śnieg był przyprószył właśnie, Niebo było pogodne, powietrze nie nazbyt mroźne.

Król szukał widocznie w tej rozrywce zapomnienia frasunku i rozpędzenia złych myśli. Stanęli mu do boku jego ulubieńcy, zwykli towarzysze w tych wycieczkach, Sagan łowczy królewski, który miał zwierzchni dozór nad czeladzią myśliwską i psami. Radlisz, co nie miał sobie równego w rzućaniu oszczepem i tropieniu zwierza. Oprócz nich kilkadziesiąt dobranej młodzieży towarzyszyło panu. Sagan zwierzchnictwo miał nad wszystkimi.

W owych czasach, tuż nieomal za miastem rozpoczynała się puszcza pełna dzikiego zwierza, a głównie żubrów, niedźwiedzi, łosiów itd., a była tak rozległa, że zapuściwszy się w nią, dni kilka ciągle przez lasy się jechało.

O brzasku dnia ruszono z nad Cybiny, gdy w tumie pierwsze światła na Jutrznię zapalono.

Król wydał rozkaz, aby lasami kierowano się ku Gnieznu. Domyślano się, że przy sposobności

łowów, pragnął pomodlić się w Gnieźnie u grobu św. Wojciecha.

Król siadając na koń, dziwnie miał chmurne oblicze. Orszak też jadący za nim trzymał się milcząco. Nieco potem wysłano czeladź i łowców z psami, aby zwierzę osaczywszy na dany znak trąbką, napędzali na myśliwych.

Król wyjechał za okopy... Tuż w prawo było miejsce, gdzie zwykle winowajców tracono. Na zmarzłym śniegu widać tam było wielką plamę krwawą. Król pobladł, uderzył silnie konia i pojechał dalej.

Dworzanie szeptali między sobą, spoglądając z ukosa na śnieg zaczerwieniony.

— To krew Jaksów.

Przybywszy do puszczy, orszak królewski podzielił się na kilka oddziałów, przez co objął znacznie większą przestrzeń.

Król Bolesław pozostał w środku, przy boku mając Radlisza, który nie zwykł był go odstępować.

Ale łowy nie wiodły się dzisiaj. Zwierz znajdował zawsze przesmyki, którymi pierzchał bezpiecznie. Łowcy źle obejmowali knieje. Trafiano tylko na drobną zwierzynę, która nikomu nie robiła uciechy. Król co się czasem zwykł był zapalać, dziś jechał obojętny.

Trwały te niefortunne łowy przeszło pięć godzin, a król był widocznie znużony już niemi. Więc Radlisz, który znał dokładnie całą okolicę,

odezwał się, że stąd o kilka staj jest dworzec, w którymby spocząć i posilić się można.

Gdy król dał głową znak przyzwolenia, Radlisz wysłał naprzód do tego dworca dwóch pacholków z oznajmieniem o przybyciu króla, i wprost od lasu puszczono się zwolna ku wrotom. Z za wysokiego okopu widać było stary dworzec. Radlisz wiedział, że ta osada „Komora“ się nazywała, lecz kto w niej mieszkał obecnie, nie wiadomem mu było. Gdy król wjechał w podwórze, ogromny ruch widać było na około dworu, lecz gdy w przedsieniu stanął, nikt na powitanie mu nie wyszedł... wedle obyczaju soli i chleba nie podano. Stała służba, — gospodarza i rodziny jego widać nie było.

Król jakby nie zważał na to, skierował się do pierwszej izby i ta była pustą. Palący się ogień na kominie świadczył, iż niedawno byli tu ludzie, ale znikli. Radlisz musiał sam panu gospodarzyć. Bolesław jednak o nic nie pytał, dopiero gdy po długiej chwili służba poczęła na stół jadło przynosić, król popatrzył na młodego, pięknej postawy mężczyznę, ale ubranego ubogo i zapytał:

— Kto tu gospodarzem?

— Pan mój, stary Tomko Jaksa — rzekł sługa podniesionym głosem.

— Niema go w domu? — spytał król marszcząc czoło.

— Był tu miłościwy Panie — rzekł sługa — ale się do lasu wynieść kazał, zostawiając dwór

i sługi dla W. K. Mości, a kazał mi powiedzieć, gdybym był pytany, że należy do tego rodu, który krwi swej oplakuje, przeto się gościowi radować nie może.

Twarz króla nieco pobladła, dłoń, w której kubek trzymał, zadrżała, czoło się zmarszczyło, ale usta słowa nie wyrzekły. Nie wstał jednak od tego nieprzyjacielskiego stołu, czując się tu jak wszędzie jedynym panem. Wzgardził doznaną obelgą.

Umyślnie może jadł powoli i długo, psom rzucając kości i pił wiele. Lecz Radlisz widział dobrze, że w królu wrzał srogi gniew i oburzenie.

Nie nadszedł jeszcze wieczór, a już wszyscy łowcy się zgromadzili, a Sagan oznajmił, że miano na oku jelenia rogacza; na króla z nim tylko czekano. Tak więc wyruszyli z Komory. Jak ich tu nikt nie witał, tak też i nikt nie żegnał. Służba nawet cofnęła się i zniknęła. Król wyruszył jeszcze posępniejszy niż przybył.

Jechali znów milczący w gęsty las. Na skraju polany porwał się jelen naprzeciw króla tak blisko, że Bolesław cisnąć mógł oszczepem. Ale kuty oszczep prześlizgnął się tylko po grzbiecie jelenia. Rączy zwierzę pomknęło szybko, a król pomimo swą tuszę, puścił się za niem w pogoń.

Zachrzęszczały gałęzie... zatętnił bór, krzyki rozległy się wokoło. Król ścigał jelenia z konia, chciał wyrzeć gniew, który rozdzierał mu duszę. Wkrótce otoczył go głuchy las... nikogo za sobą,

nikogo nie spostrzegł przed sobą; nie było tu sły-
chać tętentu koni, tylko złowrogie krakanie kruków
pomiedzy konarami.

Król miał przy sobie trąbkę myśliwską z ko-
ści słoniowej, oprawną w złoto. Mógł ją do ust
przyłożyć tylko, by dwór przywołać do siebie, lecz
czy że sam być wołał, czy że o niej zapomniał,
zwolniwszy koniowi kroku, jechał dalej noga za
nogą, cugle purpurowe z rąk puściwszy. Las tu
był dziki gąszczami zarosły, a zmrok wieczorny
zapadał, ale król do wypraw wojennych wśród no-
cy nawykły, nie trwożył się tem bynajmniej. Koń
pozostawiony sam sobie, kierował się w stronę,
gdzie się zapewne spoczynek znaleźć spodziewał.
Nagle zaczął wstępować na wzgórze, gdzie puszcza
mniej gęsta była, a król zdziwiony spostrzegł słabe
światelko, pomiedzy grubymi pniami drzew. Koń
zarżał w tej chwili jakby to światelko pozdrawiał
i biegł śmiało naprzód. Wkrótce Bolesław ujrzał
lichą chatkę pomiedzy drzewami. Przez szpary
okienicy przedzierało się trochę blasku, ponad
daszkiem lekki obłoczek dymu się unosił. Koń rżał
ciągle jakby nawoływał. Jakoż zanim król miał
czas zsiść z konia, drzwi się uchylily i głos drzą-
cy się odezwał:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

To powitanie chrześcijańskie, równie jak krzyż,
było znamieniem wiernych, wśród mnóstwa jeszcze
skrytych i ukrywających się bałwochwalców. Ale

wśród tej puszczy najmniej go się król mógł spodziewać, bo właśnie lasy były schronieniem pogan. W nich bezkarnie odprawiali swe obrzędy. Uroczyska zastępowały kontyny. Usłyszawszy to pozdrowienie król donośnym głosem na nie odpowiedział i zbliżył się ku drzwiom lepianki. Tu dopiero mógł spostrzedz, że witający go starzec był przygarbionym z długą siwą brodą... Czapka czarna pokrywała łysą jego głowę, długa, ciemna szata, grubym sznurem ujęta w pasie, służyła mu za odzież.

— Jestem podróżny — rzekł król zsiadając z konia — zabłąkałem się w lesie... dajcie mi się ogrzać i spocząć w waszej chacie.

Staruszek otworzył drzwi i wprowadził nowoprzybyłego do lichej, małej izdebki, w której nie było nic prócz małego stolika, kilku pieńków skórą pokrytych, które za siedzenia służyły i w kącie postłania z suchego liścia, starą wyblakłą derą pokrytego. Na stole leżała otwarta księga z wielkimi pisanymi głoskami. Tak szata jako i krzyżyk na piersiach dały królowi poznać w tym starym duchownego. Zdjąwszy więc pokrycie z głowy, król zbliżył się do pocałowania jego ręki.

— Pobłogosławcie mnie najpierw, mój ojciec — rzekł — a potem powiedzcie mi, jakście się tu i kiedy na tę puszcę dostali?

Staruszek wpatrując się bacznie w gościa milczał chwilę, a potem westchnął.

— Jestem pustelnikiem — rzekł — życie zakonne świata się nie opowiada, przed ludźmi się kryje. Tak samo przybyłem tu jak ci, którzy za wiedzą króla Bolesława, niegdyś się osiedlili... jak błogosławieni Męczennicy bracia moi w regule św. Romualda, Benedykt, Mateusz, Jan, Izaak, Krystyan i ten co ich przeżył Barnaba.

— W takiej nędzy — rzekł król — na takiej pustyni, wśród dzikiego zwierza i dzikszych jeszcze pogan, którzy się w tych lasach ukrywają, jakże wyżyć mogliście?

— Jak wszelkie stworzenia, łaską Boską — odparł spokojnie starzec.

— Ale wy tu ani kościoła, ani ołtarza nie macie — rzekł król.

— Mylisz się, mój synu — odparł uśmiechając się pustelnik — na wielkie święta chodzę do braci św. Augustyna do Trzemeszna, na dni powszednie sam sobie kapliczkę zbudowałem.

— Gdzież? — spytał król oglądając się dookoła. — Przy chatce nie widać innej budowy.

— Chcecie ją widzieć? — spytał uradowany staruszek.

— Proszę was — rzekł król.

Pustelnik zapalił przy ognisku małą glinianą lampkę i poszedł w ciemny kąt izdebki poprzedzając króla. Tu podniósł leżące na ziemi drzwi ze starych desek zbite, a za niemi widać było schódki wiodące do dość obszernego podziemia, służącego

za kaplicę. Własnymi rękoma wykopał je, ziemię na starych plecach wynosząc... ojciec Antoni.

Król z trwogą i zdumieniem szedł za staruszką do tej krypty. Podziemie to było dość obszerne i wspierało się na dwóch słupach glinianych. Pomiedzy niemi wznosił się prosty ołtarzyk z krzyżem i dwoma drewnianymi lichtarzami. Stał też tam mały kielich cynowy, przykryty takąż samą pateną. Za ołtarzem stała trumna z prostych zbita desek.

Pustelnik widząc zdumienie króla, mówił spokojnie:

— Wszystko, co tu widzicie dziełem jest rąk moich. Sam wykopałem powoli kryptę, sam ją sobie przystroiłem i wyrznięłem sprzęty, a Bóg dał mi siłę, że mogłem skończyć to trudne dzieło na Jego chwałę.

Potem wrócili znów do izdebki, a król usiadłszy na pieńku skórą pokrytym, zapytał, przejęty coraz większą czią dla tego świętego Pustelnika:

— Powiedzcie, Ojcze, czy wiecie, kogoście przyjęli w gościnę?

Zamyślił się staruszek i po chwili odpowiedział z uśmiechem:

— Jesteś królem Bolesławem, poznałem cię od razu, bom cię dawniej nieraz w Gnieźnie u grobu świętego Wojciecha widywał. Cześć ci królu pobożny! Rad jestem, że cię oczy moje raz jeszcze oglądać mogą!

Król Bolesław przybył tu z czarnemi myślami, podrażniony jeszcze w drodze nowym dowodem niechęci całego rodu Jaksów, gniewny, smutny... dopiero widok tego dobrowolnego ubogiego wygnańca, spokojnego, nieomal wesołego, rozchmurzył go nieco.

Siedział niejaki czas pogrążony w zadumie, a potem nagle się odezwał:

— Ojciec mój, nie darmo się tu znalazłem, nie wiedząc o was, niech się więc wypowiadam przed wami, a może ciężar spadnie mi z piersi...

— Miłościwy panie — odparł pustelnik — czyńcie jako sumieniu waszemu i duszy lżej będzie. Wszakże za cud nieomal uważać muszę, że zbłąkany wśród nocy przybyłeś do mnie.

Król zamilkł na chwilę, a potem począł cichym głosem:

— Wiecie, że ojcem moim był Mieszko, a matką Dąbrówka, która Wiarę św. w naszym kraju rozkrzewiła. Dzieckiem uczono mnie rycerstwa, a razem przebiegłości... otoczeni byliśmy wrogami. Na granicach zatknął rodzic nasz krzyż jako tarczę przeciwko obcej napaści. Biłem się dzieckiem. Gdy dorosłem, ojciec mi mówił: „Ziemia jednej mowy, do jednej dłoni należeć powinna. Albo Czesi nami, lub my nimi zawładnąć musimy. Od morza do Dunaju jak szeroko brzmi mowa nasza, to musi być królestwo twoje, lecz mieczem i krwią zdobywać je trzeba.“ Słuchałem dzieckiem

tej mowy i do serca ją sobie brałem. Rosło to ze mną... nie wypocząłem ani godziny, spełniając ojcowskie przykazanie. Tymczasem zmarła moja świętobliwa matka, gdym miał ledwo lat piętnaście. Niemcom potrzeba było na miejscu czeskiej niewiasty swoją mieć u tronu. Pokazali starzejącemu się królowi urodziwą niewiastę, Ode, córkę margrafa Dytmara. Namówili go do nowego małżeństwa. Przybyła więc na zamek nasz macocha, ale mi serca ojca nie odebrała. Wkrótce potem udałem się na wojenne wyprawy, w domu było mi duszno. Przybywało nowego rodzeństwa. Siostrą rodzoną miałem jedną tylko Sygrydę, którą za duńskiego Suenona wydano. Teraz z Ody przyszli po kolei Światopełk, Władybój, Lambert. Słyszałem już, jak mówiono, że państwo miało być podzielone. Ojciec głaszcząc mnie po głowie, powtarzał: „To będą twoi wojewodowie, a ty nad nimi królem i panem.“ Ale z oczów dzieci Ody patrzyło, że mnie słuchać nie zechcą. Mieszko starzał, mnie posyłał wojować, sam posłuszny żonie, pragnął spokoju. Wiedział Bóg pewnie, co czynił, że mi dwór ojcowski się sprzykrzył, bom od niego uciekał w bory i szukał nieprzyjaciela, wojować musiał i do wojny, którą prowadzę całe życie, zaprawiłem się za młodu. Wreszcie zmarł Mieszko, gdy mnie w domu nie było. Wróciwszy, zastałem go na marach, macochę z jej synami gospodarującymi w moim domu. Jam był przecież starszy, pierwo-

rodny... byłem głową rodu... Działy stały się za wolą ojca, który każdemu synowi kraj osobny przeznaczył. Światopelkowi Gniezno; dwie szerokie ziemie Odylonowi i Prybuwojowi, synom stryja mego Sydbora. Macocha za dwóch młodszych, Władyboja i Lamberta na dwóch działach rządzić miała. Mnie ledwo Poznań oddano...

Mówiąc to, jęknął Bolesław i dłonią w stół uderzył.

— Miałem dać rozpaść się temu, co ojciec własnymi krwawemi zlepił rękoma? Byłem starszym i wodzem, a nikt mnie słuchać nie chciał, jeden za wszystkich stawać musiałem w obronie kraju. Wróg targał zewsząd... lud do pogaństwa powracał, rozprzegało się wszystko... rycerstwo tylko stało wiernie przy mnie. Cierpiałem tak trzy lata, patrząc jak się w gruzy waliło to, co mój ojciec zbudował. Posyłałem do macochy, aby mi ludzi na obronę kraju dawano, lecz odprawiano posły moje nieomal z urągowiskiem... Odylon i Prybuwoj nie ze mną, ale tam z tymi trzymali. Byłem sam przeciw pięciu i macosze. Nadeszła godzina, gdzie się cierpliwości przebrała miara. Nocą nashedłem na zamek Ody, jej i dzieciom wyjść kazałem z mej ziemi, gdzie chcieli... do swoich... Odeszli więc ze złością i pragnieniem zemsty. Odylon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem. Pokonałem ich obu... dostali się w moje ręce. Nieposłusznych mogłem dać pościnać... miałem

litość, oślepić ich tylko kazałem, aby szkodliwymi być nie mogli.

Pustelnik słuchając westchnął, król w piersi się uderzył.

— Mów Ojczy, czy winny byłem, będąc okrutnym?

Ojciec Antoni milczał, król odezwał się po chwili:

— Sam zostałem panem tego kraju, sam z myślą ojcowską... Chrobackie ziemie trzeba było wydrzeć Czechom, stanąłem do wojny z Bolkiem pobożnym, rodzonym moim wujem, ale kraj stał mi się bliżej niż związki krwi. Od Rusi trzeba było odebrać zawojowane kraje, pospieszyłem na Ruś. Węgry trzymały Słowaków, musiałem się bić z Węgrami. W Niemczech przyszły niepokoje, Serbów trzeba było od nich odbić i przyłączyć do swoich. Nie było chwili spoczynku, aby miecz schować do pochwy. Pogańskie Prusy podbijać słowem świętem poszedł Apostoł Wojciech i zginął. Stał najbliżej serca mojego, czczył go cesarz Otton III... i każdy co się do niego zbliżył, bo on istnieje świętym był Mężem.

— Wyście go znali — zawołał składając ręce pustelnik — toście byli szczęśliwi!

— Rzekliście prawdę — rzekł król — Chrystus Pan żywym obrazem swoim uczynił go na ziemi i dlatego śmierć mu męczeńską przeznaczył. Po śmierci jeszcze był moim dobroczyńcą — mówił

Bolesław z uczuciem. — Przeprowadziłem jego święte zwłoki do Trzemeszna, a wkrótce potem do Gniezna. Rozpromieniała od nich nasza świątynia i rzuciła promienie na cały świat. Duch święty Apostoła przywiódł mi tu cesarza Ottona i uczynił go moim druhem. U grobu świętego Wojciecha podaliśmy sobie dłonie, koronę swoją włożył mi na skronie i rzekł mi naówczas: „Panuj u siebie tak jak ja władam w mojem cesarstwie, a bądź Kościołowi wiernym.“ Na wieść o bytności cesarza Ottona na mojej ziemi, zawrzały zawiścią wszystkie margrafy niemieckie i wszyscy wrogowie ziemi mojej. Udało mi się szczęśliwie walczyć z nimi i poskromić ich siłą oręża. Ale teraz gdy na spoczynek zasłużył, Bóg mi największe zsyła niepokoje. Mieszkowi, młodszemu synowi mojemu przeznaczyłem panowanie po sobie. Przed tobą Ojczyźnie duszę otworzyć mogę... lecz starszy Bezprym, którego przeznaczyłem do stanu duchownego, co milczy i chodzi zasepiony, który mnie unika, mając żal do mnie, silniejszym jest od Mieszka... i kto wie, co się stać może w przyszłości... Ta myśl mnie niepokoi, a teraz mam jeszcze na sumieniu krew dwóch moich walecznych rycerzy winnych zabójstwa. Skazałem ich na śmierć. Ród ich i powinowaci zwracają się przeciwko mnie. Byłem surowym, ubłagać się nie dałem, przykładu potrzeba było na możliwych zuchwałców, aby nie mówiono, że rycerzom moim nawet

w czasie pokoju łupić i obdzierać wolno było bezkarnie. A nie mówisz zakon nasz oko za oko, ząb za ząb?

— Tak — odezwał się pustelnik — mówił to stary zakon, dopóki nie przyszedł pan światłości i nie rzekł natomiast: „Przebaczaj nieprzyjaciółom, jako pragniesz abym ci winy twoje przebaczył.“

— Nie byli to moi nieprzyjaciele — odparł król — kochałem ich, byli druhami moimi i towarzyszami. Lecz cóżem uczynić miał, będąc sędzią przeciwko zakonowi ludzkiemu, który śmiercią za śmierć karze? Miałem szczerdzić tych, co się nie litowali niewinnemu dla chciwości jego bogactw?

Pustelnik ze spuszczonemi oczyma, mrucał coś jakby odmawiał modlitwę.

— Nie jesteś winnym — rzekł po namyśle — niech spadnie brzemię z twojego serca, a jeżeli powstaną na ciebie nieprzyjaciele, podnieś się śmiało przeciwko nim, bo zakon jest twoją tarczą.

— Ale miłosierdzie mogłem czynić! — zawołał po chwili milczenia Bolesław. — Krew zburzyła się we mnie, a nie powstrzymałem jej. Żałuję mojego uczynku! Żal mi tych ludzi!

Pustelnik usłyszawszy te wyrazy, podniósł obie ręce i cicho zamruczał słowo rozgrzeszenia.

Tak skończyła się ta boleściwa królewska spowiedź. Zamilkli oba na chwilę, gdy wtem koń króla pod ścianą gwałtownie rzeć zaczął. Równo-

cześnie łomot i wrzawę coraz wyraźniej słysząc było w lesie.

— Ludzie, głosy słyszę — zawołał pustelnik, zwracając się do króla.

Bolesław wstał z siedzenia, zbliżył się ku oknu, odsunął okienicę i z rozjaśnioną twarzą dobywszy róg, co mu wisiał na piersiach, zatrąbił. Wkrótce wesołe okrzyki odpowiedziały na głos trąbki.

Chatę otoczył orszak króla, który szukając go długo po lesie, wreszcie za śladami konia trafił na tę górę.

Wnet weszli do izby Sagan i Radlisz strasznie uznojeni.

— Miłościwy panie — zawołał Sagan — nie mieliście litości nad swoimi sługami. Nie chcieliście odezwać się do nas i dać nam znak!

Król się uśmiechnął.

— Nic się złego nie stało — rzekł, a wskazując na staruszkę, dodał: — Powitajcie świętego męża, co mi dał schronienie.

Poszli tedy królewscy urzędnicy ucałować ręce Ojca Antoniego.

Po krótkim i serdecznem pożegnaniu, cały orszak myśliwski z królem na czele opuścił gościnną chatę, a że już dzień zaczynało, udano się drogą do Gniezna wiodącą, gdzie król pomodlić się pragnął przy grobie świętego Wojciecha.

VII.

Gdy Jaksowie znaleźli się w nowem więzieniu, do którego dalekie dochodziły mruczenia i głosy, nie byli jeszcze pewni ocalenia. Wśród ciemności zaczęli szukać, na czymby się mogli wesprzeć, lecz izba była pustą. Legli więc przy ścianie na ziemi, nie troszcząc się, jak te ostatnie chwile życia przepędzą.

Upłynął czas dość długi, gdy wreszcie zaskrzy-piał długi klucz w zamku u drzwi, nie tych przez które ich wprowadzono, lecz w innych w ścianie przeciwległej umieszczonych. Ukazało się w nich światło i wszedł mały, przygarbiony, stary człowiek z lampką w ręku. Miał na sobie szatę z grubego, czarnego sukna, krojem takim, jakie duchowni nosili.

Wszedłszy jakby z obawą, popatrzył strwożonym wzrokiem na dwóch braci, pilnie się im przyglądając. Być może, iż inaczej zupełnie wyobrażał sobie zbójów na śmierć skazanych. Gdy zobaczył łagodne i smutne twarze Jaksów, którzy powstałi z ziemi, za ręce się trzymając, mocno się zdawał zdziwiony. Palec położywszy na usta, nawrócił prędko do drzwi i wniósł do izby kosz z żywnością, jakiej od dawna skazańcy nie kosztowali i dzbanek z napojem.

W milczeniu postawił starowina koszyk przed nimi i ruchem ręki zachęcał ich do jedzenia.

Wtem Andruszka odezwał się po cichu:

— Mój Ojcie, kiedyż nas będą tracić?

Usłyszawszy głos, staruszek jakby go się przeląkł, znów palec na usta przyłożył.

— Nic, nic, nie wiem — szepnął. — To wam powie kto inny, nie moja to rzecz.

I znowu ręką na kosz wskazał.

Chociaż niepewni swojego losu, Jaksowie tak byli zgłodniali, że Jurga wyciągnął rękę do kosza; zobaczywszy ich jedzących, stary popatrzył chwilę, postawił lampę na przymurku i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Jaksowie zabrali się ochoczo do jedzenia. Srogi głód miał swe prawa, zniewalał ich nawet do zapomnienia, w jak niebezpiecznem znajdowali się położeniu. Jakąś nową siłę wlał w nich napój i jadło. Andruszka się uśmiechnął.

— Poco nas karmią na śmierć? — zawołał.

— Kto wie — rzekł Jurga — coś się stać musiało. Wyrok królewski śmierć przededniem zapowiedział, a to już dzień biały...

Mówiąc to, wskazał na okienko wysoko w górze, przez które widać było blaski przedzierające się dnia jasnego.

— Tak, dzień — potwierdził Andruszka.

— Może się wreszcie zlitują nad jednym — dodał młodszy. — Jeżeli namyślają się jeszcze, którego mają tracić, jam gotowy.

Starszy nie mógł już nic na to odpowiedzieć, bo w tejże chwili otworzyły się drzwi i schylając

się, wszedł inny duchowny, nieznany obu braciom, mąż poważny ze złotym krzyżem na piersiach na ciężkim, złotym zawieszony łańcuchu. Bracia na widok księdza powstali i wedle zwyczaju, rękę jego ucałować pośpieszyli.

Piękna, choć surowa twarz duchownego, nie zdawała im się nic złego zwiastować. Szedł jakby niósł z sobą pociechę, a zanim zaczął mówić, zmierzzył także bystrem spojrzeniem Jaksów. Oni stali przed nim milczący.

— Przyszedłem wam, dzieci moje, zwiastować nadzieję ocalenia. Nie mogę ani wam powiedzieć, komu to winni jesteście, ani co wam przeznaczono. Uczyniono wszakże tyle, iż z pod gniewnej ręki króla, miłościwa opieka was wyrwała. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ułagodzi gniew królewski i możecie być ocaleni. Lecz w Bożej to woli. Módlcie się o Jego łaskę. Na wolność wyjść jeszcze nie możecie. Ktoś nieopatrzny mógłby was zobaczyć i tajemnica wydałaby się przed czasem. Musicie więc pozostać w zamknięciu... tu lub może gdzieindziej... Dla świata jesteście umarli... nikt wiedzieć nie powinien, że żyjecie... Macie czas na pokutę i żal za grzechy...

Słuchając tej mowy Jaksowie, daleko mniej okazywali radości, niż się spodziewać było można. Ludziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody, do ruchu, do nieustannego zajęcia, niewola wśród czterech murów wydawała się nieomal gor-

szą od śmierci. To jedno ich tylko pocieszało, że rozdzielonymi być nie mieli.

— Żebyście zaś o Bogu nie zapomnieli — mówił dalej duchowny — możecie kilka razy w tygodień z za kraty, do której was stróż zawiedzie, wysłuchać Mszy świętej. Powtarzam wam raz jeszcze, gdybyście nieszczęściem przez kogo poznani zostali, życiem byście to przyłacić musieli. Więc idąc na Mszę św., twarze zakrywać musicie i do nikogo nie mówcie słowa. A teraz Bóg z wami! — i poważnym krokiem wyszedł z izby.

Drzwi zaryglowano za nim. Bracia padli sobie w objęcia i ścisnąć się zaczęli radośnie. Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały ten dzień zszedł im na domysłach, kto ich mógł od zguby ocalić. Znali dobrze Bolesława, wiedzieli więc, na jakie niebezpieczeństwo ten się narażał, kto śmiał się woli jego sprzeciwić. Jurga wpadł na myśl, iż może ojcu Teodory i łzom córki jego zawdzięczają tę łaskę. Andruszka posądzał raczej Opata Tynieckiego, którego przybycie do ciemnicy było dla nich jakby objawieniem lepszego losu. Żaden nie sięgnął nawet myślą do królowej.

Tegoż dnia stary sługa przyniósł im słomy na posłanie i dzban wody. Nazajutrz zaprowadził na Mszę świętą do kościoła.

Tak upłynęło braciom kilka dni. Ale ta cisza, próżnowanie, nieświadomość dalszego losu, czyniła im tę niewolę nadzwyczaj srogą i ciężką. Jurga

opadał codziennie na siłach, wreszcie na dobre zachorował. Nie wstawał już z posłania, milczał i zdawał się z upragnieniem oczekiwać śmierci. Starszy brat był wytrwalszy, czuwał nad nim i widząc go tak w oczach niknącego, błagał starszego stróża, aby starszego duchownego o tem uwiadomił.

Tegoż dnia nadszedł poważny kapłan do więzienia. Jurga już tak był osłabiony, że nie mógł się unieść na posłaniu.

— Mój Ojcie — rzekł Andruszka — winniśmy ocalenie od gwałtownej śmierci łasce nie wiemy czyjej. Lecz tu zginiemy z tęsknoty... natura nasza znieść nie może zamknięcia więzienia. Brat w oczach mi ginie. Umrze, umrę i ja po nim... tyle tylko, że się pomęczymy dłużej.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem tej skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć, co z nimi począć. Przystał do Jurgi i przekonał się sam, iż go choroba trawiła. Nie mówiąc wiele, uczynił tylko nadzieję powrotu i odszedł. Ale nazajutrz przybył znowu i to z Opatem Tynieckim. Opat obejrzawszy chorego, przekonał się, że istotnie choroba groźne już przybrała rozmiary. Był widocznie zakłopotany, bo i on zdawał się nie wiedzieć co tu począć, jak radzić.

— Idzie o wasze życie — rzekł — ktokolwiek was zobaczy na wolności i wyda... natenczas nie tylko wy zginiecie, ale zgubicie te osoby, które was

ocalić chciały... Nie widzę tu innej rady, jak przeprowadzenie was do obszerniejszego więzienia, do mojego klasztoru w Tyńcu, gdzie w zakonnych celach przynajmniej na słońce patrzeć będziecie mogli i z braćmi, co was nie wydadzą, obcować. Lecz jakże się będziecie mogli niepostrzeżeni dostać do Tyńca?

Andruszka pospieszył odpowiedzieć, że będą nocami przedzierać się przez manowce, unikając ludzi. Jurga nawet usłyszawszy o tem, podniósł głowę poręczając słabym głosem, iż raczej umrzeć gotowi, niż zdradzić swych obrońców.

Rozpoczęła się wtedy długa narada jak doprowadzić do skutku tę daleką podróż. Szczęściem, że obu braciom nawykłym do wojennych wycieczek, dobrze były znane wszystkie okolice naszego kraju, a pora zimowa czyniła możliwą tajemną podróż. Opat Aron rzekł po długim namyśle:

— Znajdziecie w Tyńcu moich braci z różnych stron świata i języków tam zebranych. Moglibyście korzystać z tego. Rozpatrzywszy się i objaśniwszy u Ojców, moglibyście przygotować się do podróży daleko większej, któraby wam zapewniła ocalenie.

Tu spojrzawszy na ciekawie go słuchających, Opat mówił dalej:

— Król, pan nasz miłościwy potrzebę mieć będzie wielką wysłać ludzi zręcznych i pewnych w ważnej sprawie... daleko... kto wie? do Rzymu

może? ... do samego Ojca świętego ... Zręczności i męstwa do tej podróży wielkiego potrzeba. Niebezpieczeństwa dość się znajdzie w drodze ... Moglibyście mieć dodanego w pomoc braciszka Włocha ...

Na samą wzmiankę o podobnej wyprawie Andruszka rzucił się ręce Opata całować, a Jurga podniósł się jakby mu sił przybyło. Lecz dnia tego na kilku się słowach skończyło. Jurga odżył widocznie, ucieszony Andruszka słuchał jego weselszej rozmowy. Noc przespał spokojnie. Obudził się silniejszym, smak mu do jadła powrócił. Gdy trzeciego dnia Opat Aron przybył do nich, znalazł go już chodzącym po izbie.

Zaczęto się więc naradzać o podróży. Opat Aron chciał czekać, aby Jurga całkiem do zdrowia powrócił, ale bracia zaręczyli mu, że podołają najcięższej podróży, gdy się na swobodę, powietrze i światło wydobędą.

Wyznaczono więc trzecią noc do wyjazdu. Bracia spędzili te dwa dni w gorączkowem oczekiwaniu. W wieczór, kiedy już tej nocy mieli wyjeżdżać, otworzyły się z cicha drzwi więzienia i ujrzeli wchodzącego starego Sieciecha, a za nim wahającym krokiem postępowała z zapuszczoną na twarz zasłoną, jego córka Teodora. Pieszczona jedynaczka ojca wyblagała u niego tę łaskę, by Jurge, którego uważała za przyszłego męża, mogła widzieć, nimby na niepewne puszczał się losy.

Piękna Sieciechówna, gdy zobaczyła Jurgę tak ogromnie chorobą i niewolą zmienionego, rozplakała się rzewnie.

Rycerski Jaksą ukląkł przed nią... a odważne dziewczę wnet się uspokoiło. Słów tam niewiele wyrzeczono.

Sieciech po ojcowsku zaczął ich napominać. Teodora prosiła braci, aby się nie narażali na to, by zdradzonymi być mogli.

Narzeczonemu oddała poświęcony krzyżyk, który go miał bronić od wszelkiego niebezpieczeństwa.

— Oh! wiedziałem — zawołał Jurga nieomal wesoło — komu mamy zawdzięczać nasze ocalenie.

— Jeśli myślicie, że mnie lub mojemu ojcu, to się mylicie — odpowiedziała Teodora. — Prosiłiśmy za wami, lecz ocalił was kto inny, którego imienia wyrzec mi się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie, lecz i teraz jeszcze im królowa na myśl nie przyszła. Dłużej dopytywać nie śmieli.

Po krótkiem pożegnaniu Sieciech odszedł z córką, a bracia żywo zaczęli się sposobić do podróży. Stróż im pomagał.

Późna już była noc, gdy wszedł Opat Aron. Z nim razem opuścili swą więzienną celę w turmie i zeszli w podwórze, gdzie na nich dwa konie czekały. Niedaleko od turmy furtka wiodła na pole.

U tej furty stała straż, choć to w czasie pokoju było zbyt rzadkiem.

Lecz Bolesław ciągle się obawiał wszelkiej zdrady, podejścia i napaści.

Opat Aron pierwszy dając się poznać straży, wyszedł stąd na pole i jako swoich dwóch posłańców, braci za sobą wyprowadził.

Ucałowawszy rękę jego Jaksowie dosiedli koni z niewysłowionem uczuciem, jakiego doznaje człowiek długo zamknięty, gdy nagle dostaje się na swobodę. Nie mówiąc nic do siebie, popędzili spieszno oddalając się od grodu, którego okolice szczególnie dla nich były niebezpieczne i ku najbliższemu kierując się lasom. Okolice te dobrze im były znajome, bo nieraz polowali w nich z królem.

Jeszcze Opat stał w furcie, aby się naocznie przekonać o ich oddaleniu, gdy puściwszy się cwałem Andruszka i Jurga zniknęli w zaroślach.

VIII.

Tyniec, którego opactwo pierwszy król Bolesław z Judytą Węgierską, matką Bezpryma założył i uposażył, starą był osadą i gródkiem, nad brzegiem Wisły, wśród lesistej okolicy o półtorej mili od chrobackiej stolicy Krakowa położonym. Jak w całej Europie naówczas tak i w Polsce zakonnicy św. Benedykta, przynosili ze sobą światło. Od tych klasztornych ognisk, przy których pierwsze szkółki

powstawały, miało się ono w na pół pogańskim jeszcze kraju rozchodzić.

Nie starczyły rzadko rozsiane Katedry i Biskupstwa ani świeckie duchowieństwo wielkiemu nawracaniu i cywilizacyi. Najdzielniejszą byli im pomocą mnisi i zakonnicy. To też za Mieszka a więcej jeszcze za Bolesława Wielkiego wznosiły się z kolei pustelnie, klasztory, kościoły, w Sieciechowie, na Łysej Górze, w Tyńcu, Lubiniu ... Potrzeba było przysposobić krajowe duchowieństwo, któreby zrozumiałym językiem do ludu przemawiać mogło. Benedyktyni sprowadzeni z Kluniaku, Monte Cassino i innych klasztorów ze Zachodu, przynosili ze sobą szkoły, rękopisma, rzemiosła i sztuki piękne, do naszego niecywilizowanego jeszcze naówczas kraju.

Nie będziemy opisywali podróży Jaksów do Tyńca, która trwała dość długo już dlatego, że miejsc wiele wymijać musieli i od oczów ludzkich się chronić. Podróż była męcząca, mrozy i zawieje bardzo ją przykrą czyniły. Nie obeszło się też bez zbłąkania, które nie mało czasu kosztowało. Gościńców naówczas nie wiele jeszcze było w kraju, to też znużeni przedzieraniem się przez różne lasy i manowce, tak jeźdźcy jako i ich koni zatęsknili wreszcie za wypoczynkiem. Andruszka i Jurga upatrywali niecierpliwie rychło im się ten upragniony Tyniec ukaże.

Opat Aron dał im własną ręką zapisany zrzy-

nek pergaminu pod swą pieczętką do zastępującego go Ojca przeora. Wiele na nim jednak napisać nie mógł, zlecił więc Andruszce, aby ustnie resztę opowiedział.

Ominawszy Kraków, jechali nocą przez gęsty las. Mróz ostry, głód i znużenie strasznie im dokuczało; wreszcie wyjechawszy nad ranem z lasu, ujrzeli o kilkanaście staj na urwistem wzgórzu nad rzeką teraz zamarzlą, w ogrodzeniu budowle, a nad niemi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował. Zdawa słyhać było odgłos dzwonka klasztornego. Słupy dymu podnosiły się nad dachami. Z niewymowną pociechą w duszy, czując się ocalonymi, popędzili konie, by co rychlej dostać się pod gościnny dach.

Wkrótce stanęli przed bramą dobrze obwarowaną, lecz nie bardzo okazałą. Tu posiadali z koni i natychmiast otworzyły się wrota i w nich stanął stróż w ciemnem odzieniu, mierząc nowoprzybyłych ciekawemi oczyma. Był to braciszek, który już trochę języka rozumiał i gdy mu Andruszka powiedział, że są od Opata posłani, a z przeorem mówić potrzebują, wnet od nich konie odebrano, a ich do foresteryum zaprowadzono.

Gospoda ta była pustą dla obcych, ale ogień się palił na kominie i w wielkiej tej izbie widać było drzwi kilkoro do osobnych cel prowadzących. Ogromny stół, a na nim kilka mis zapomnianych, na ścianie wizerunek Chrystusa, ławy około stołu i po-



Wyjechawszy nad ranem z lasu, ujrzeli w ogrodzeniu budowlę, a nad niemi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował...

dłoga szmatami wysłana, stanowiły jedyne urządzenie tej skromnej gospody.

Zaledwie weszli Jaksowie, ukazał się na progu młody nowicyusz w czarnym ubiorze, z twarzą rumianą, tchnącą spokojem i wesołością z ciemnymi oczyma i takimiż włosami.

Widocznie obowiązkiem jego było gości witać i przyjmować. Rodem Francuz, nauczył się jako tako naszego języka i zaraz spytał Jaksów, czyby głodnymi nie byli. Zarazem oznajmił im, że przeor jest na chórze, a za chwilę, gdy się skończą modlitwy, przyjdzie do nich.

Niedługo też wszedł do izby przeor w habitcie, jakiego po dziś dzień używają Benedyktyni. Był to nie młody już, ale czerstwy mężczyzna, z tym samym, wesołym wyrazem twarzy, który już u młodego kleryka tak zdziwił braci Jaksów. Andruszka pozdrowiwszy pocałowaniem ręki Ojca Benedykta, oddał mu pergaminowy zwitek Opata Arona.

Przeczytawszy to pismo przeor dał znak klerykowi, aby się oddalił i teraz zaczął wypytywać braci o cały przebieg ich smutnej przygody. Gdy mu Andruszka wszystko szczerze opowiedział, rzekł poważnie:

— Tu u nas żadne wam niebezpieczeństwo nie zagraża; zimą zwłaszcza mało kto do klasztoru uczęszcza z osób rycerskiego stanu... Dla niepoznania moglibyście włożyć suknie nowicyuszów, ale i to nie jest koniecznie potrzebnem...

W kartce od Opatą Arona stało napisane, iż dobrze byłoby, gdyby ci dwaj bracia nauczyć się mogli jakiego języka, z którymby w podróż do Włoch wybrać się łatwiej mogli. Przeor przyobiegał im wyznaczyć jednego z braci Włochów, do nauczania ich tego języka, co oni z radością przyjęli. Potem zawołał nowicyusza i kazał mu odprowadzić braci do mieszkania, które dla nich przeznaczył.

Była to czysta komnata, dość obszerna z oknami ku Wiśle zwróconemi, w której komina nie brakło i miejsca na posłanie. Mieli też stół i ławy, a naówczas niczego już więcej nie potrzebowano. Zniesiono tu ich torby podróżne, a po długiej jeździe, w ciągu której ani razu się przebrać nie mogli, pierwszy raz rozebrali się i z ciężkich kaftanów wyzwolili. Młody kleryk Odon pomagał im we wszystkim wesoło, usiłując rozchmurzyć ich czoła i natchnąć dobrą myślą. Przyniesiono im wkrótce skromne, ale posilne jedzenie, które im po tak długim wygłodzeniu niezmiernie smakowało.

Gdy wreszcie Odon odszedł, obiecując oprowadzić ich nazajutrz po całym klasztorze i bracia sami pozostali, Jurga rzekł do brata:

— Ha! Bóg jeden wie, jak nam długo żyć przyjdzie! ... Ludzie jacyś dobrzy, przyjacielscy ... ale życie?

— Tsy! lepsze niż w ciemnościach na poznańskiej turmie — odparł starszy — tobieby się

chciało ująć z Sieciechówną w dzikie lasy i bawić się po dawnemu, albo wyruszyć na wojenną wyprawę. Ale nie rychło do tego przyjdzie.

— Cóżmy to z nimi robić będziemy? — spytał Jurga — jeść, pić, modlić się i spać, albo z tym młodzieniaszkiem gawędzić?

— Przecież się nam Opat jakiegoś języka uczyć kazał — przerwał Andruszka — a ja nie jestem przeciwny temu... to się i na wojnę przydać może...

Zadumali się oboje.

— Jak ci się zda, długo potrwać może? — spytał znów Jurga.

— Sądzę, że nie krótko — odparł Andruszka.

— Ale przecież w las czasem na łowy pojechać nam będzie wolno — rzekł Jurga.

— Nie będę śmiał o to przeora pytać — rzekł starszy brat — o półtorej mili od Krakowa, gdzie królewski namiestnik mieszka... a koło niego ludzie się od dworu kręcą... nużby nas kto poznał?

Smutna ta rozmowa późno w noc się ciągnęła. Z izby swej słyszeli bracia jak dzwoniło na modlitwy, jak szli na nie i wracali zakonnicy, wreszcie zasnęli snem twardym i zbudzili się nazajutrz, gdy słońce już wysoko stało na Niebie.

Tak upłynęło im kilka tygodni w Tyńcu wśród ciszy i spokoju.

Życie klasztorne, które zrazu tak im się straszne wydawało, z każdym dniem było znośniejsze. Wszyscy ojcowie, z którymi się choć trochę rozmówić mogli, tak dla nich byli uprzejmi, tak weseli, że obcując z nimi mimowolnie się smutku pozbywało.

Młody Odon był im tłumaczem i przewodnikiem, kilku też innych zakonników już się po trosze z nimi rozmówić umiało.

Nie zbywało też tu na przedmiotach ciekawość obudzających. Klasztor był ich pełnym.

Każdy nieomal z Braci św. Benedykta miał jakieś zajęcie. Chodząc po celach — Jaksowie mogli się przypatrywać ze zdumieniem, jak we wprawnych rękach kruszce rozmaitych nabywały kształtów, jak się w ogniu topiły bezbarwne mieszaniny i żywych nabierały kolorów.

Szczególny jednak urok miało dla nich pismo, te znaki ciemne, tajemnicze, które myśl w sobie spowitą mogły nieść na drugi koniec świata i w wieki odległe.

Nie przystawało im, jako rycerzom uczyć się tego, lecz patrzeć lubili, gdy w wielkiej izbie wszyscy Ojcowie zajęci byli wielką robotą, jakto tam szła praca podziałem raźnie i pięknie. W klasztorach Benedyktynów, w których przepisywanie rękopisów było nieomal głównem zajęciem, dzieliła się praca na wiele rąk i głów, począwszy od najpośledniejszej aż do najważniejszej, najzawikłańszej.

Tak najstarsi z braci nic więcej nie robili tylko atrament i kolory przygotowywali. Tych braciszków zwano Ojcami atramentariuszami.

Inny znów braciszek siedząc u okna, strugał trzciny i zaciął pióra. Był to jeszcze człowiek młody i silny, to też zostawał często odwoływany od tej roboty do noszenia wody, rąbania drew, a szedł z taką ochotą, jakby do najmilszej rozrywki.

Osobny stół miał O. Teodorych, który pergamin czyścił i wygładzał. Do tego i siły i zręczności potrzeba było. Nad niejedną buntowniczą skórka dobrze się musiał namęczyć, lecz pociechę też miał, gdy szorstka i twarda, w rękach jego stała się śnieżysto białą i połyskującą.

Z niej dopiero inny brat wycinał pod miarę kartki, przeznaczone na złożenie księgi, a malutkie zrzynki przeznaczano na pośledniejsze użytki.

Ze stołu tego przechodził pergamin do Ojca Rubryki, który siedział wygodnie i czerwonymi liniami kreślił na białych kartach przyszłe wiersze rękopisu.

Kilku młodszych braci pisało i nad nimi stawali Jaksowie najdłużej, przypatrując się jak powstawały te ozdobne, różnobarwnymi floresami przystrojone głoski.

Na ostatek w kącie pod oknem siedzący z pomocnikami staruszek, spajał rozpierschłe karty i okrywał okładzinami.

A gdy w pocie czoła wywiedziona na świat księga skończoną była i odnieść ją miano do przeora, co za radość? Jak się każdy cieszył, co się do tego choć w cząstce przyczynił! Nikt powiedzieć nie mógł, aby skarb ten jego był dziełem, bo składali się nań wszyscy! Może też zwyczaj tego podziału pracy u OO. Benedyktynów miał na celu właśnie, aby żaden dumnym być nią nie mógł. Wiadomo z reguły zakonnej, iż ilekroć spostrzegał przełożony, że Braciszek zřęcznością w sztuce jakiej mógł się wbić w pychę, odejmował mu tę pracę, a dawał inną, aby się pokory nauczył. Po ukończonej pracy i modlitwie, zgromadzili się zwykle wszyscy Braciszkwowie, jako też i nasi dwaj wygnańcy do obszernej izby i tam przeor zabawiał ich opowiadaniem różnych zdarzeń z przeszłości.

Pomimo, że Jaksów bawiło rozglądanie się w tem życiu klasztorne, tęsknota za swobodą a przynajmniej za łowami, nie opuszczała ich ani na chwilę. Wreszcie Jurga ośmielił się przemówić na osobności do przeora:

— A! mój Ojcze! mamy do was prośbę wielką! Bóg widzi, że nie dla mnie samego... o brata mi więcej chodzi. Myśmy tak do zamknięcia między czterema ścianami nie przywykli, Andruszka mi usycha, patrząc na lasy... Gdybyście pozwolili nam na łowy wyjechać...

Prośba ta była tak naturalną naówczas ze strony wojaków, iż się jej przeor nie zadziwił wcale.

— Ktoby wam tego zabronił? — rzekł — lecz sami zważcie, na co się wystawiacie. W Krakowie gości dużo rycerzy, co was znać i poznać mogą. A oni nieomal co dzień wyjeżdżają w lasy na łowy. Jesteścież więc pewni, że się z nimi nie spotkacie? A jeśli się spotkacie z takimi, co was znają, narazicie nie tylko siebie, ale i innych...

— A! Ojczyce przeorze! — zawołał Jurga — lasy szerokie, miejsca dosyć... ucho mamy bystre, konie rącznie... nie boimy się ani napaści z nienacka, ani pogoni...

— Więc czyńcie jak chcecie — rzekł Benedyktyn — lecz strzeżcie się, byście nie wpadli w niebezpieczeństwo.

Jurga pocałował go w rękę i pobiegł oznajmić bratu tę wieść radosną.

Andruszka ucieszył się nie mało, lecz rzekł po chwili namysłu:

— A jeżeli się co stanie?

— Cóż się stać może?

— Nuż spotkamy kogo?

— Alboż nas kto może pochwycić z nienacka? — rzekł Jurga.

Pomimo wahania Andruszki, znać było po nim, że się tej pokusie oprzeć nie zdoła.

— Więc jutro do dnia na łowy! — zawołał — jutro do dnia.

I przez cały wieczór cieszyli się jak dzieci; ręce im drżały do oszczepów.

— W las! w las! — powtarzał to jeden, to drugi...

I po pierwszej Mszy św. pobiegli do stajni, a w chwilę potem już ich w klasztorze nie było.

IX.

Ranek był jakby dla łowów wybrany i pod szczęśliwą wróżbą wyjechali Jaksowie za wrota.

Świat im się śmiał cały! Zdawało się im, że powracają do owych dobrych czasów... co się tak źle skończyły. Radość, że mogą oddychać znów świeżem powietrzem, upajająco na nich działała.

Puszcze stały ciche, otwierając swe głębie, a nigdy może Jaksom nie wydawały się tak cudownie pięknymi jak teraz. Konie ich dobrze wypoczęte, rade swobodzie, prychały i szły lekko a rażno.

Rozglądali się uważnie po okolicy, aby z powrotem nie zmylić drogi. Lecz przytem zważali też bacznie na ślady stóp rozmaitych zwierząt, które na świeżo spadłym w nocy śniegu wyraźnie się okazywały.

Wtem Jurga syknął, wskazując świeże tropy:

— To ślady dzika — zawołał — pogońmy za nim!

Ruszyli spieszno, rozstępując się nieco, tak, aby tropy odyńca w pośrodek wziąć między siebie.

W kilku miejscach wałęsający się dzik próbował ryc, ale nie mogąc zamarzłej ziemi poruszyć, biegł dalej.

Jaksowie zapomniawszy już o wszystkim, z oczyma wlepionemi w ślady zwierza, gorączkowo doganiać go zaczęli.

Zdała widać już było przysiadłego, ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, bielejącymi kłami z olbrzymim ryjem. Ten zobaczywszy jeźdźców, ryknął krótko i począł uchodzić. Zwierz był niezmiernego wzrostu, niezgrabny, ciężki, ale straszny siłą. Wpadł na zaspę śniegową, w której się ukrył prawie do grzbietu i wyskoczył z niej na kłode, przy której śnieg się nagromadził. Za tą był chrust i gąszcz powikłany, a z niego się wydobyć przychodziło mu z trudnością, gdy Andruszka dopadł go pierwszy i oszczepem żgnął po grzbiecie.

Oszczep uwiązał w boku odyńca, lecz śmiertelnego nie zadał mu ciosu. Jurga z drugiej strony zabierał się go dokonać, gdy rozjuszony zwierzę koniowi jego, przednie nogi kłami rozcięło. Koń i jeździec padli obaj tuż obok odyńca, który paszczką krwawą bronił się wściekle. Ale Jurga nie tracąc przytomności, dobył miecza i uskoczywszy na bok, tak zręcznie ugodził nim dzika, że ten krwią oblany padł nieżywy.

Drogo to było okupione zwycięstwo, bo koń miał nogi rozcięte tak, że się tylko na skórze trzymały. Biedne zwierzę tarzało się, pasując z bólem i śmiercią. Jaksowie stali przerażeni tym wypadkiem. Jurdze żal było konia nieomal jak przyjaciela, stał nad nim z załamanemi rękoma.

Wreszcie nic mu pomóc nie mogąc, przerznął mu gardło z litości. Andruszka zsiadł także z swego konia i tak stali niemi nad swą nieszczęsną zwierzyną, nie wiedząc, co z sobą począć. Gdy tak stali bezradnie, usłyszeli nagle tętent konia i wkrótce ujrzeli jeźdźcę, zbliżającego się ku nim, który na szczęście zupełnie był im nieznany. Był to w podeszłym już wieku mężczyzna, okryty kożuchem niedźwiedzim, włosem na wierzch wyłożonym. Na głowie czapka ze łba wilka z białymi kłami nadawała mu straszne oblicze, co jeszcze powiększała długa, siwa broda rozczochrana. Ubrojenie miał staroświeckie, ciężki topór, mały mieczyk, dzidę w rękę. Stanąwszy na koniu opodał dwóch braci, spoglądał z widocznem podziwieniem na nich i na zabitego dzika i konia.

Stał jakby tu był w domu i jakby czekał, aby ci obci najpierw do niego przemówili. Oni zaś wcale do tego nie mieli ochoty.

Wreszcie nie pozdrowiwszy ich po chrześcijańsku, co obydwóch uderzyło, zawołał:

— Droga zwierzyna! Skąd wy?

Andruszce się nie bardzo odpowiadać chciało, lecz zbyć go trzeba było.

— Byliśmy w gościnie u Ojców na Tyńcu — rzekł — pozwolili nam zapolować... a no łowy się nie udały...

Nieznajomy zmierzył braci oczyma. Wspomnienie o Tyńcu nie zdawało mu się do smaku.

— Pewnie królewscy jesteście, od dworu? — zapytał.

— Jesteśmy wojacy, nie dworacy — odparł Jurga.

Stary głową pokręcił.

— Co myślicie poczynać? — zapytał.

— Wracać jeden pieszo, drugi konno — odparł Jurga.

— A dzik?

— Możecie go sobie wziąć, jeżeli chcecie — odezwał się Andruszka — nam się na nic nie przyda.

— Doprawdy? — spytał stary — wieprz co się zowie, wypasł się bodaj u mnie, rad mu będę... Ale darmo podarunków nie biorę... nie daleko stąd moja dziura... spoczniście u mnie. W klasztorze o smaku mięsa zapomnieliście, a i miodu oni tam sycić nie umieją te czarowniki z za morza.

Ręką pogardliwie rzucił.

— Wracać bo nam trzeba — odezwał się Andruszka niespokojnie.

— Wróćcie w czas, drogę wam pokażę — mówił stary — gościłą ubogą gardzić się nie godzi.

I pomyślawszy dodał:

— Może nie macie ochoty iść, nie wiedząc do kogo? Stary jestem człek, którego ojcowie cały ten kraj niegdyś dokoła trzymali. Nasz on był. Dziś u nas nikt nic nie ma, król jeden wszystko...

Nowa wiara, pany nowe... jam starych lat człowiek i żebrak... Została mi zagroda i prawo do łowów. Resztę mnichom dano. Zabiorą tu dokoła wszystko co zechcą. Któż tu panem, jeśli nie oni?... Król ich pierwszy sługa.

Zdumiony Jurga wtrącił:

— Nie jesteście chyba chrześcijaninem?

— Albo się ciebie pytam — odparł dumnie stary — z jakim trzymasz Bogiem? — zamilkł nieco.

— Chcecie do Starżowej skały — rzekł po chwili — dobrze, nie, to niech dzik gnije, a wy bywajcie zdrowi... ale po staremu, gościna gardzić się nie godzi.

Bracia spojrzeli na siebie. Niebezpieczeństwo im nie groziło u tego człowieka, co się sierdził na króla i na nowe sprawy. Ciekawość ich brała. Skinęli ku sobie i Andruszka głową skinął na znak przyzwolenia.

Stary dobył z za odzieży małego rogu myśliwskiego i krótko zatrąbił w niego.

Na ten odgłos dwóch ludzi wybiegło z gąszczem z oszczepami. Stary pokazał im ręką dzika, i nic nie mówiąc ruszył naprzód. Jurga na konia brata skoczył z tyłu, siodło swoje wzięwszy na plecy.

Nie mówiąc słowa, prowadził ich z sobą stary Domosul Starża. W klasztorze nic o nim dotąd nie słyszeli, lecz był to człowiek z dumy, uporu i dzikości znany. Przez to potracił swe włości, a nie chcąc się ochrzcić, zupełnie się od ludzi odłączył.

Mieszkowi i Bolesławowi wypowiedział posłuszeństwo, ziemie dał sobie pozabierać i przez litość tylko zostawiono go do żywota na małym gródku, nie broniąc mu łowów.

Jadąc ciągle w górę przybyli wreszcie do wrót starego grodu i Domosul uderzył trzykroć dzidą w potężne wrota, które się otworzyły natychmiast. Wjechali więc na podwórze, kilku nędznymi szopami otoczone, pomiędzy którymi nieco okazańszyszy znajdował się dworek.

To też wnet przybiegło kilku parobków równych tym, których w lesie widzieli, aby konia zabrać do stajni. Domosul wprowadził ich teraz do sieni, a stąd do obszernej izby, w której straszny panował nieład. Dym tak był wielki, że aż tchu brakło, a na ławach i stołach było porozrzucanych tyle różnorodnych gratów, iż ani nie było gdzie posadzić gości. Domosul otworzył drzwi w przeciwną stronę znajdujące się ścianie, i wprowadził ich do izby na pół w skale, na pół w twardej ziemi czysto i pięknie wykutej. U sklepienia zwieszały się korzenie drzew ponad tem podziemiem rosnących, jakby umyślnie dla ozdoby poprzyczepiane. Z tej izby wiodły drzwi do innych mieszkań i kryjówek podziemnych. W wyźłobieniach tych izb ujrzeli z niemałym zdziwieniem Jaksowie stojące nieforemne bałwanki z drzewa, z ponasadanymi w oczach i na głowach kamykami świecącymi. Przy jednej ze ścian było ognisko, na którym palił

się ogień, a dym wymykał się otworem, który ponad grzbieć góry wychodził. Wszystko tu było osobliwe i dziwne, tak jak gospodarz tego domu. Wprowadziwszy ich do podziemia, Domosul rzekł spoglądając ciekawie:

— Dziwujecie się może!... a no, gdy mi się stare dworzysko spaliło, schroniłem się do tej jamy, kędy przodkowie nasi siedzieli i dobrze mi tu... ciepło i cicho...

W istocie mimo mrozu na dworze, w podziemiu czuć było ogień aż do zbytku.

Siedli Jaksowie, spoglądając na rozmaitą, starą broń, porozwieszaną na ścianach, jakiej już za czasów Bolesława nie używano.

Domosul zrzućwszy z siebie ciężkie okrycie, stanął przed nimi w krótkim kaftanie skórzanym. Wkrótce też dwa chłopaki i jakaś stara gospodyni poczęli znosić jadło nie wytworne, ale obfite i smacznie przyrządzone.

Gospodarz zasiadł swe miejsce i gości zaprosił do misy. Jurdze się jednak jeść odechciało, bo był bardzo stratą swego konia zmartwiony.

A był to już dzień jakiś nieszczęśliwy dla nich, bo ledwie do stołu zasiedli, rozległ się głośny hałas przed domem. Gospodarz ucha niecierpliwie nadstawił. Goście spojrzeli po sobie. Nie było się już co tać; wszelki obcy przybysz mógł być dla nich zdrajcą. Odezwał się więc Andruszka:

— Miły panie, słyhać jakąś wrzawę. Mielizbyście spodziewać się gości?

Domosul głową potrząsł, jakby nie był sam pewien.

— Wyznam — dodał żywo Andruszka — iż gdyby nas, co broń Boże, kto z królewskiego dworu zobaczył, bylibyśmy zgubieni...

Stary zmarszczywszy brwi popatrzał na nich ciekawie.

— Z mojej jamy zdradzie wyjść nie dam — rzekł — bądźcie spokojni! U mnie nie gości nigdy nikt prócz synowca, Jaśka z Tęczyna, któryby mnie chciał na swoją wiarę nawrócić i wyrwać z mego spokojnego grodziska...

— Ależ Jaśko z Tęczyna nas zna! — zawołał zrywając się Jurga — jeśli to on przybywa, uciekamy.

Domosul spojrział na nich coraz bardziej zdziwiony.

— Nie pytałem was — rzekł — coście za jedni. Zbroiliście coś rzeczywiście królowi? Tem więcej was bronić i osłaniać będę... bo go nie cierpię...

Wtem szmer i stąpanie zbliżało się ku izbie. Domosul wskazał ręką braciom na wyjście do bocznej izby. Andruszka i Jurga, zerwawszy się od stołu, pobiegli się w niej ukryć.

Zaledwo zniknęli, nagle drzwi się otworzyły i wszedł przystojny, urodziwy mężczyzna, odzia-

ny starannie i bogato. Pozdrowił wesoło Domusula, oczyma rzucając po izbie.

— Czołem stryjowi! — zawołał. — No, ale cóżto? widzę posiłek... mówiono mi, że macie gości. Nie widzę ich, cóż się z nimi stało?

— A tobie co do moich gości? — spytał Domosul spokojnie.

Jaśko głową pokiwał i rzekł:

— Przecież jam nie potwór jaki, żeby ludzie przede mną uciekali — rzekł. — Cóż to jest?

— Co ci do moich gości? — powtórnie rzekł Domosul spokojnie.

Oreż i wierzchnia odzież, którą Jaksowie zrzucili, leżały na widoku; Jaśko spojrzawszy na nie, uśmiechnął się, a potem przystąpiwszy do stołu, zawołał:

— Zaprawdę, sroga to dla mnie obraza, że się ludzie chowają, lub wy ich chowacie przede mną. Czyż lękacie się czegoś dla nich, lub dla siebie i myślicie, że Jaśko z Tęczyna, wasz synowiec was zdradzi?

— Hej! hej! — mruknął stary — kto nie chce się sparzyć, ten w ogień palca nie kładzie.

Wzdrygnął się widocznie już rozgniewany nowoprzybyły i zaczął się przechodzić po izbie, wreszcie stanął przy drzwiach, poza którymi Jaksowie byli ukryci, a przecuciem dziwnem wiedziony, zawołał:

— Tameście waszych gości ukryli przede mną. Cóż to? chyba zbóje są i mordercy, że się obawiają oczu czystego człowieka.

W Jaksach krew się wzburzyła na te wyrazy tuż koło nich wymówione. Jurga byłby już wyskoczył z kryjówki, gdyby go Andruszka nie był powstrzymał.

Domosul nic Jaškowi nie odpowiedział.

— Nie za kogo innego mam gości waszych — prawil dalej — jeno za ludzi bez czci i wiary, gdy się ukrywać potrzebują przed Jaškiem z Tęczyna...

Tych wyrazów domawiał, gdy Jurga wyrwał się i stanął przed nim. Na widok człowieka, o którego śmierci był przekonany Jaško, bo o niej szeroko głośzono wszędzie, cofnął się oniemiały i przestraszony, jakby ujrzał widmo z grobu powstające.

Andruszka nie został za bratem; w milczeniu wyszli obaj i dumnie, nie mówiąc słowa, wpatrzyli się w przerażonego gościa.

— Jašku z Tęczyna — odezwał się Andruszka — jeżeliśmy się ukryli przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa... Winniśmy życie ludziom litościwym, co nas ocalili bez wiedzy króla... czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy... Chcieliście nas widzieć, macie... ale wiedzcie, że jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nas nie wydacie, przypłacicie życiem.

Jaśko stał, nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia. Patrzył i oczom swym nie wierzył, słuchał i nie wiedział, co sądzić o tych dwóch nieboszczykach. Pojąć mu było trudno, by kto śmiał króla oszukać dla ich ocalenia. Znał Bolesława. Za Andruszką Jurga powtórzył:

— Słowo nam dacie lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić — zawołał Jaśko — nie jestem królewskim dziesiętnikiem lub pachołkiem, ale wojakiem jak i wy... Biliśmy się nie jeden raz obok siebie, cieszę się, żeście ocaleni, a zdradzać was niech mnie Bóg broni...

Innego słowa nie potrzebowali Jaksowie i wnet się z nim ścisnąć zaczęli i potem siedli wszyscy razem obok Domosula do misy.

Jaśkowi pilno było dowiedzieć się o cudownej tych dwóch braci przygodzie, ale gdy się dopytywać zaczął, Andruszka mu odpowiedział:

— Nie badajcie nas, nie możemy mówić nic nad to, iż nas widzicie przy życiu... tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie począć z sobą? — odezwał się Jaśko — uchodźcie do Węgrów? czy do Czech? do nieprzyjacielskiego kraju?

— Nie — odpowiedział Jurga — kryjemy się, oczekując szczęśliwej godziny, a do obcych iść nie myślimy, choć dzień dzisiejszy nauczyć by nas powinien, jak trudno ukryć się przed oczyma ludzkiemi.

— Jeżeli myślicie się ukrywać w tej okolicy — rzekł Jaśko — chętnie wam ofiaruję gospodę w Tęczynie.

— Za serce dobre Bóg wam zapłać — rzekł Andruszka. — Przed wami wyznać możemy, żeśmy gośćmi na Tyńcu... wyprosiłszy się na łowy. Jurdze konia podciął zraniony dzik... i tu schroniliśmy się na chwilę... ale do klasztoru powracać nam trzeba. U was też często gości rycerstwo z Krakowa, ukryćby się niepodobna było.

— Kąt bezpiecznyby się znalazł — rzekł Jaśko — ale nie chcę na was nalegać. Tylko mi na jedno pozwolicie, abym z pod jeźdźca, którego z moich najlepszego konia wziął i dał Jurdze za zabitego.

— A myślicie — przerwał Domusul — że u mnie już konia zbytecznego niema?... Jam tu przecież pierwszy. Ubogi wprawdzie jestem. Pozabierali mi królowie wasi, com miał nie od nich, ale od przodków moich... tyle jednak zostało, że się ma pieszego na co wsadzić.

Wszczęła się tedy żywa rozmowa. Jaksowie ciekawi byli dowiedzieć się czegoś ze świata; Jaśko zaczął opowiadać obszernie, że wszyscy powinowaci Jaksów dwór królewski opuścili, a nawet wiedziano już w Krakowie o starym Tomku Jaksie, który wyjechał z domu, gdy król wstąpił do niego będąc na łowach.

Było to dla obu braci niewymowną pociechą, iż rodzina co ich odpychała wprzód, jednakże na

ostatku do więzów krwi się poczuła i sprawę ich trzymała, choć ich już umarłymi sądziła. Lecz mimowolnie żał im było króla, który z ich przyczyny tyle ponosił przykrości.

Na rozmowie czasu dosyć upłynęło; wstali Jaksowie do odjazdu się sposobiąc. Wstał też Jaśko ofiarując się dla bezpieczeństwa odprowadzić ich ku Tyńcowi. Gdy się ze starym żegnali, uparł się, aby od siebie dać konia Jurdze i wyszedł z nimi w podwórze, gdzie już koń niepozorny stał gotowy. Za uzdę go ująwszy Domosul, cugle od niego oddał w ręce Jurdze i głową pokiwawszy na znak pożegnania, powrócił do swego podziemia.

Tak tedy dwaj bracia w towarzystwie Jaśka ruszyli ze Skały znowu w las. Gdy się od niej oddalili, Jaśko z Tęczyna rzekł z westchnieniem:

— Domusul umrze jakim żył — stara swoboda i obyczaj miłsze mu nadewszystko... Ani króla ani duchownego znać nie chce... Zubożał z tym uporem, dał sobie zabrać i ziemię... ale się nie ugiął.

— Nie wielu, szczęściem, takich jak on upartych — rzekł Andruszka — nikomu prócz sobie nie szkodzi...

— Ze żupanów dawnych mało który stoi tak twardo przy swoim jak on — odparł Jaśko — ale ubogiego ludu, co trzyma z nim i z takimi jak on jest dużo. U góry król, rycerstwo, władcy, duchowieństwo... u dołu lud, co żyje jak żył i pa-

trzy tylko, by wrócił do dawnej swobody... Jeżeli Mieszko ojcowskiej nie będzie miał dłoni...

— Mieszko wojak dzielny — przerwał mu Jurga.

— Daj mu Boże szczęście — rzekł Jaśko — bo jeżeli mu sił nie stanie... to wszyscy poginać możemy.

Wśród takich rozmów dojechali aż do Polany, z której gród Tyniecki zdala widać było. Tu rozstać się wypadło.

— Hej! jakbym wam rad był, gdybyście do mnie byli przybyli w gościnę — rzekł na odjezdnem Jaśko z Tęczyna.

Andruszka potrząsł przecząco głową.

— Siedźcie więc z mnichami i poście — rzekł Jaśko — lecz gdy wam się to sprzykrzy, przybądźcie do mnie choć na łowy...

Wieczór już był późny, gdy Jaksowie do wrót klasztornych przybyli. Z widoczną radością otworzono im furtę, a młody Odon wybiegł na ich spotkanie. W klasztorze panował bowiem wielki o nich niepokój. Ludzie, którzy drwa wozili z lasu do klasztoru, znaleźli w lesie zabitego konia, opowiedzieli o tem Ojcom, a stąd powstały domysły i trwoga o Jaksów.

X.

Tymczasem w Poznaniu na królewskim dworze ciągle się snuły knowania, których głównym

sprawcą był Petrek i margrafówna; ona w nadziei doprowadzenia do tego, żeby król żonę swą odpchnął, a ją na tronie posadził, on służąc wiernie cesarzowi i jego duchowieństwu, którzy koniecznie starali się przeszkodzić temu, aby Bolesław nie osiągnął poświęconej przez Ojca św. korony.

Królowa Emnilda była ciągle w śmiertelnej obawie, aby się jej pobożne kłamstwo nie wydało. Dochodziły ją zewsząd zastraszające wieści; o ocaleniu Jaksów mówiono wiele, a nawet Petrek miał donieść o tem królowi. Świętobliwa pani modłać się i płacząc, gotowa już raczej była przyznać się do przestępstwa, niż żyć w ciągłej trwodze i uczuciu przewinienia.

Tylko usilne prośby Opata i innych duchownych, którym na spowiedzi grzech wyznała, mogły ją powstrzymać od zawczesnego przyznania się do winy i zdradzenia tajemnicy. Opat Aron nie bez powodu przewidywał, iż król sam żałować będzie zbyt surowego wyroku, szczególnież dlatego, iż kara na Jaksów wyrzeczona odebrała mu cały zastęp sług wiernych, ród możny i spowinowacone z nim, które się teraz od dworu usuwały.

Bolesław już razy kilka bolał nad stratą, jaką poniósł. Dotkliwą mu była w chwili, gdy właśnie przyszedł tron synowski usiłował otoczyć silnemi podporami.

W tym właśnie czasie doniesiono mu, że Lutycy, którzy często dopuszczali się grabieży nad

granicami, wpadli znowu do kraju. Król powołał na wyprawę przeciwko nim Jaśka z Tęczyna, który na rozkaz przybył natychmiast do Poznania.

Pisarz Petrek podług swego zwyczaju zbliżania się o ile możliwości do tych, co przybywali na dwór królewski, aby się od nich czegoś nowego dowiedzieć, nie omieszkiał stawić się przed Jaśkiem. Nie znał go wprawdzie osobiście, ale słyszał o nim wiele i o rodzie jego; Jaśko zaś wiedział tylko o nim z pierwszych słów jego, iż poufałym był Opata Arona i przez króla do różnych spraw ważnych używanym.

Wiedział przebiegły Petrek, jakim mu tu być należało, co mówić i jakie okazywać usposobienie. Przed wojakami króla inaczej jak nieprzyjacielem cesarstwa okazywać się nie mógł. W rozmowie o dworze królewskim, o synach Bolesława, Bezprymie i Mieszk, Petrek wtrącił wnet ubolewanie nad tem, iż krewni i cała rodzina Jaksów tak się od króla usuwała. Mówiąc to czy z umysłu, aby wypróbować Jaśka, czy przypadkiem, Petrek odezwał się dwuznacznie, iż tem gorzej czynili, gdy jak powszechnie nie bez przyczyny utrzymywano, Jaksowie straceni nie zostali.

Usłyszawszy to Jaśko, a pewnym już będąc, iż Petrek jest do tajemnicy przypuszczony, rozśmiał się głośno i znacząco. Uderzyło to Petrka.

— I wy tak sądzicie? — odezwał się podnosząc oczy dotąd do ziemi spuszczone.

— A jakżebym mógł inaczej — odparł Jaśko — kiedy ich na własne oczy oglądał i z nimi mówiłem.

Petrek palec położył na usta na znak milczenia.

— Jużci wiem przed kim mówię — rzekł Jaśko — bobym tajemnicy ich nigdy w świecie nie zdradził. Wam przecież nie tajno, co Opat czyni, a on ich wyswobodziwszy wysłał do Tyńca, gdzie do czasu prawdziwą odsiadują pokutę, boć rycearzowi klasztor to samo, co więzienie...

Gdyby nie mrok zapadający w izbie, byłby może nieopatrzny Jaśko spostrzegł, jaką radością zajaśniały małe siwe oczy Petrka. To, czego mimo całą przebiegłość swoją dotąd nigdzie dowiedzieć się nie mógł, wpadło mu teraz tak łatwo i niespodzianie w ucho. Uważał to za cud Opatrzności.

Nie dając jednak nic znać po sobie, zaczął rozpytywać ostrożnie, jak sobie poczynali Jaksowie.

Jaśko opowiedział mu obszernie o całej przygodzie Jaksów na łowach i jak się z nimi u stryja swego Domosula spotkał niespodzianie.

Tak wydobywszy z Jaśka, co się tylko dało, Petrek rad niezmiernie pożegnał go i udał się wprost do Opata Arona.

Zastawszy go samego na probostwie, zbliżył się i uniżenie rękę jego pocałowawszy, szepnął:

— Czci najgodniejszy Opacie, żal mam do Was.

— Do mnie?

— Tak jest. Żal w tej sprawie Jaksów, z której dla mnie uczyniliście tajemnicę, jak gdybym ja stary, wierny, pokorny Wasz sługa, na żadne nie zasługiwał zaufanie.

Opat chciał przerwać, Petrek pochwycił żywo:

— Przecież wiem o wszystkim dobrze, tak jak i wielu innych wie, iż do Tyńca wysłani zostali przez Waszą Przewielebność...

Opat Aron mimo obawę, jaka go ogarnęła, nie okazał nic po sobie. Wzrokiem zimnym przeszył mówiącego.

— Mój Petрку — odparł spokojnie — własne tajemnice zwierzam Wam chętnie, ale cudzych nikomu.

To mówiąc, cofnął się nieco i dodał po cichu:

— Rozumiecie mnie? ... I na tem koniec niech będzie.

To rzekłszy, wziął w rękę księgę leżącą na stole i zaczął w niej przewracać karty. Potem odłożył ją i mówił:

— Nieszczęściem jest ta grzeszna ciekawość ludzka, która wszędzie się wcisnąć pragnie, nieszczęściem ten niespokojny język ludzki, który się utrzymać w mierze nie umie. Więc ta wiadomość o Jaksach tak już jest rozpowszechnioną?

— Niestety! — odezwał się Petrek.

Skąd-że do was przyszła — badał Opat dalej.

— Waszej Przewielebności tać tego nie będę — rzekł — powiadał mi o tem Jaśko z Tęczyna, który ich widział na własne oczy. Śnać się wcale nie wystrzegają, bo się z nimi gdzieś spotkał na łowach.

Oburzony Opat wzdrygnął się i nie rzekł już ani słowa. Dopiero, gdy już Petrek miał odchodzić, szepnął mu:

— Proszę Was, nie rozpowiadajcie tego przed czasem. Wszystko się to, da Bóg, inaczej skończy, niż ludzie sądzą... ale chwila jeszcze nie nadeszła.

Więcej nie dodał i odprawił pisarza. Po jego odejściu zamyślił się głęboko. Wieść o rozgłoszonem ocaleniu Jaksów zagrażać mogła spokojności królowej. Z tego stanu niepewności wyjść było potrzeba.

Pobożny Opat westchnął szukając w myśli środka, jakimby mógł przyspieszyć rozwiązanie, wypraszając łaskę dla Jaksów, a przebaczenie dla świętobliwej pani, co im ocaliła życie. Zdawało się to możliwem, gdyż król Bolesław niejedną raz zwierzał się Opatowi, iż mu odstąpienie od dworu tylu rodzin i tylu mężów od rady i oręża potrzebnych ciężło srodze. Postanowił więc przedewszystkiem naradzić się z królową.

Dni świętobliwej pani upływały niemal całe na modlitwie i dobrych uczynkach. Zmuszona pokazywać się u dworu, zostawała na nim, póki mąż

wymagał i spieszyła znów do swej kaplicy i do ubogich, których karmiła i odziewała.

Gdy Opat przyszedł do jej dworca, zastał ją otoczoną ubogimi i odmawiającą dla nich modlitwy, które za nią powtarzali. Ujrzawszy Opata Arona, królowa Emnilda zdała na starszą niewiastę rozdawanie jałmużny i weszła z nim do osobnej komnaty.

— Miłościwa pani — rzekł teraz Opat — przypadkowo dowiedziałem się, że tajemnica o ocaleniu Jaksów dłużej utrzymać się nie da...

— Posądzam Teodorę — rzekła królowa — że ona nierozsądnem słówkiem zdradzić się mogła.

— Lękam się, że i więcej ludzi już się tego domyśla — rzekł Opat.

— Mój Ojczy, a gdyby się domyślali?

— Król by się mógł dowiedzieć...

— A gdyby się dowiedział? — powtórzyła królowa z rezygnacją. — Niech się dzieje wola Boża! Niema tu nikogo winnego prócz mnie, a ja na karę wszelką jestem gotową i w sumieniu spokojną.

Opat głowę skłonił.

— Miłościwa pani — odezwał się po chwili milczenia — inaczej radzić trzeba... tak iżby król wdzięczny nam był, a nie gniewny, ażeby za dobry uczynek dziękował, a nie karał... Do tego, zda mi się, przyprowadzić go zdołamy, gdyż jemu codziennie więcej żal Jaksów...

— Cóż czynić tedy radzicie? — spytała Emnilda.

— To, co sam już czynię codziennie — odparł Opat — wspominać mu Jaksów, budzić po nich żal, dzielność i wierność ich wychwalać, utyskiwać, żeśmy tak pożyteczną dla pana naszego stracili siłę...

— Nie śmiem, drzę, gdy kto ich imię wymówi — przebaknęła królowa — spuszczam oczy, by kłamstwa mego nie wydały.

— Król sam — mówił Opat — często teraz ich wspomina, więc tylko mu potakiwać trzeba.

Zamilkła pobożna pani.

Tymczasem, jak się to często zdarza, że złym ludziom miesza szyki ręka niewidzialna, tego czego uczynić nie chciała królowa, podjęła się margrafówna Oda, z zamiarem szkodenia tej, której miejsce tak bardzo zająć pragnęła.

Tegoż dnia przy biesiadzie zaczęła głośno mówić przy królu o Jaksach, z oczu nie spuszcżając królowej.

Wzdrygnęła się i zarumieniła Emnilda. Opat podchwycił zaraz, występując z żalem i pochwałami dla tych rycerzy. Królowa ośmielona także wtrąciła słówko.

Przy stole pańskim nie było nikogo z obcych; Sieciech stał tylko, Mieszko i Ryksa. Reszta dworu przy osobnych stołach głośno się zabawiała. Gdy się rozpoczęła mowa o Jaksach, nachmurzona twarz króla jeszcze się zrazu bardziej zasepiła i okiem toczył dokoła. Słuchał długo nic nie mówiąc. Gdy

się już prawie nie spodziewano, by się o nich miał odezwać, potrząsł głową i począł mówić półgłosem:

— Niema dnia, ażebym sam nie bolał nad losem Jaksów, żebym nie przypomniał sobie, jacy to byli dzielni rycerze, a dla mnie wierni słudzy... straciłem ich, niedosyć na tem, tracę codzień więcej tych, co do ich rodu należą. Uciekają ode mnie, a ci, co zostali, serca do mnie nie mają. Gniew zły jest zaiste doradcą...

Westchnął król, Emnilda milczała, jakby siły w sobie szukając.

— Miłościwy panie mój — rzekła wreszcie nieśmiało — Święci cuda czynią, módlmy się, może który z nich dla nas także cud uczyni i z martwych ich wskrzesze.

Bolesław smutnie głową potrząsnął.

— Nie wiem, ażalim godzien takiego cudu — odezwał się — jeżeli kto, to wy świętobliwa niewiasto moglibyście go wyprosić. Zaprawdę z duszy bym wam za to był wdzięczen. Spadłby mi z sumienia wielki ciężar... Wszystkoby około mnie poweselało... A no, poco mówić o tem, co się nigdy stać nie może?

Wtem Opat przerwał.

— Bóg jest wszechmogącym — rzekł — jest-że niepodobieństwem temu co świat stworzył z niczego, wskrzesić człowieka, choćby był umarłym?

Bolesław popatrzał nań zdumiony.

— A cóżbyś uczynił? — dodała Emnilda, której twarz rumieńcem pałała — co byś uczynił panie mój, gdyby się stał cud taki? co byś zrobił ze zmartwychwstańcami?

Królowi dziwna ta rozmowa przykrą się być zdawała, lecz w miarę jak się przeciągała, budziła się w nim ciekawość czy podejrzenie. Ostatecznie słowa królowej przyjął zadumany, badając pilnie wzrokiem żonę i Opata.

— Cobym uczynił? — rzekł zwolna z namysłem — możesz-że wątpić, iżbym im przebaczył jak ojciec i do łaski ich przyjął, aby zapomnieli co przecierpieli?...

Opat spojrział na królowę, która oczy spuściła nie mówiąc nic więcej. Sieciech, który stał opodal, słuchał cały drżący, sądził, że królowa więcej powie po tak dobrem poczęciu, lecz ona zamilkła, a król wsparty na ręku sam mówił dalej:

— Z nimi powróciliby mi wszyscy ich powinowaci do rady i do boju... wszyscy starzy towarzysze moi, co przy mnie i za mnie krew przelewali. O! jakażby to była uroczystość wielka i święto! Ale... — zwrócił się do Opata — przewielebny Ojcie, Bóg już dziś cudów takich nie czyni.

— Dlaczegożby dziś nie mógł uczynić co uczynił wczoraj? — odparł Opat — a jestże kto godniejszy takiego cudu nad naszą miłości-

wą panią... Niech ona się modli, ja w cud wierzę...

Królowi dziwna wesołość zabłysła w oczach.

— Emnildo moja! twoim modlitwom się polecam — zawołał — módl się!

To mówiąc i nie czekając odpowiedzi, król powstał od stołu, widocznie weselszy i jakby ożywiony.

Oda, która w milczeniu przysłuchiwała się całej rozmowie, rozgorączkowana i gniewna, że król ani na nią nie spojrzał, odeszła natychmiast do swego mieszkania żalując gorzko, iż niepotrzebnie o Jaksach tych napomknęła.

Królowa odszedłszy od stołu, udała się do kaplicy, gdzie pogrążona w gorących modłach, oczekiwała przyjścia Opat.

Ujrawszy go wchodzącego, upadła przed nim na kolana. Twarz jej promieniała radością.

Opat Aron choć wzruszony, twarz miał niezmienioną, na której zawsze niczem niezakłócony malował się spokój. Radość go nie rozjaśniała, smutek nie gnębił widocznie.

— Mów Ojczy, co teraz' czynić mamy? — zapytała królowa.

— Wysyłam natychmiast, dziś jeszcze do Tyńca — odparł Opat — aby Jaksowie przybywali. Gdy tu staną, ty miłościwa pani, ty jedna możesz rzucić się z nimi razem do nóg króla i pana naszego... Niema wątpliwości, że im przebaczy,

że wieczną wdzięczność zachowa dla was. Staną pilnie na straży, aby jaki wpływ obcy nie popsuł tego, co się tak szczęśliwie uczynić dało. Bogu niech będzie cześć i chwała!

XI.

Po pierwszej swej nieszczęśliwej wycieczce do lasu Jaksowie nie śmieli wypraszać się już więcej za furtę klasztorną. Siedzieli spokojnie i codzień uczyli się przez kilka godzin rozmawiać po włosku z jednym z braciszków z tego kraju przybyłych. Tak upłynęło im znów kilka tygodni. Już powietrze wiosenne czuć się dawało, topniały lody, a z pod nich trawa zielona wydobywać się zaczęła.

Pewnego wieczoru, gdy już się zabierali do spoczynku, usłyszeli wrzawę u furty i spostrzegli oknem dwóch jeźdźców przybywających. Odon szczerze im przychylny, przybiegł zaraz do nich z doniesieniem, że od dworu królewskiego przybyło dwóch posłańców, którzy natychmiast zgłosili się do przeora z ważną sprawą. W niepewności, co by to być mogło, siedzieli przy kominie dwaj bracia, gdy po kilku chwilach kroki na kurytarzu słyszeć się dały i wszedł przeor.

Ujrzawszy go o tej niezwyklej godzinie, uczuli trwogę. Przeor twarz miał zasępioną i smutną.

— Mężom zwiastować mam nowinę złą czy dobrą — rzekł — nie będę jej słodził i łagodził.

Przybył od Opata naszego przewielebnego poseł umyślny, który przyniósł rozkaz, abyście z nim razem niezwłocznie do Poznania wracali. Napróżno starałem się go badać, coby to znaczyć miało. Poseł sam nic więcej nad to nie wie, iż pospiech nakazano i ostrożność wielką, abyście na drodze widzianymi nie byli. Niech więc Bóg was prowadzi — dodał — jedźcie ufni w to, że Opat, który do ocalenia wam się przysłużył, do ostatka was nie opuści... Przyślę wam tu zaraz posła, abyście sami z nim się rozmówili o jutrzejszej podróży.

To powiedziawszy przeor wyszedł zostawiając Jaksów w niewysłowionem zdumieniu.

Wkrótce potem Odon wprowadził do nich dwóch podróżnych. Obaj byli komornikami ze dworu królowej Emnildy, zaledwie z widzenia Jaksom znani. Starszy z nich, człowiek wytrawny, mało mówiący, ostrożny, zwał się Samek; młodszy, Odrzyn, pod jego był rozkazami i tylko się odznaczał śmiałością wojenną.

Pozdrowiwszy Jaksów, gdy pytać go niespokojnie zaczęli, Samek długo milczał, zbierając się na odpowiedź.

— W przededniu wyjazdu — rzekł — wezwała mnie miłościwa pani, nakazując, abym sobie pewnego dobrał towarzysza i z nim się zgłosił do Opata Arona, który, co mi powie, ma to być spełnionem, jak gdyby sama królowa jejmość dała od siebie rozkaz. Poszedłem wtedy do Opata, a ten

powiedziawszy mi wszystko o was, kazał mi jechać niezwłocznie do Tyńca i zgłosić się do Przeora, aby zezwolił mi zabrać was z sobą do Poznania.

Usłyszawszy to Jaksowie, nic nie odpowiedzieli. Na śmierć czy życie powracać było ich powinnością. Ci, co ich ocalili, rozporządzać nimi mieli prawo. Nie pozostawało im nic nad ślepe posłuszeństwo.

Po krótkiej rozmowie udali się wszyscy na spoczynek, aby jutro jak najwcześniej puścić się w drogę.

Nazajutrz, skoro dzień zajaśniał, Jaksowie szli pożegnać Przeora i Braci, którzy, gdy się o ich wyjeździe dowiedzieli, zebrali wszyscy, aby ich na podróż pobłogosławić. Umieli sobie bowiem bracia zaskarbić wielką przyjaźń, a pocziwy braciшек Odon tak się do nich przywiązał, iż prosił ze łzami, aby jak najprędzej wracali do klasztoru.

Przeprowadzeni do furty, wyjechali z posłami, wynosząc z sobą wspomnienie pobożnego i pracowitego życia zakonników, które mimowolnie na ich duszach błogie sprawiło wrażenie. Ale podróż wśród tego wiosennego świata wnet rozproszyła wszelkie uczucia tęsknoty. Samek znając dobrze drogę, wiódł ich przez lasy i manowce tak, że zaledwie dwa dni i dwie noce minęły, gdy się już ku Poznaniowi zbliżali.

Teraz dopiero spytał Andruszka przewodnika, co miał uczynić z nimi, przybywszy do grodu nad Cybiną. Jaki miał rozkaz w tym względzie? Samek odpowiedział, iż nocą wjechać mieli na probostwo i tymczasowo pozostać w izbie, która dla nich była przeznaczoną.

Późno w nocy przybyli; stojąca u wrót straż na rozkaz Samka wpuściła jeźdźców, a choć wszyscy spali, obudzono stróża i izba do spoczynku się znalazła. Samko i Odrzyn spełniwszy co im przykazanem było, pożegnali się serdecznie z Jaksami i powrócili na dwór królowej.

Andruszka i Jurga, pomimo niepewności o dalszy los, położywszy się na przysposobionem posłaniu ze słomy, znużeni podróżą zasnęli, zapominając o wszystkim, a choć we śnie wracała im trwoga, nie obudzili się aż dzwony i ruch koło kościoła sen im przerwały.

Cały ranek upłynął im na oczekiwaniu. Dopiero około południa ujrzeli wchodzącego Opata Arona. Pospieszyli do ucałowania rąk jego, czekając, co im zwiastuje.

— Bóg łaskaw — odezwał się Opat — król miłościwie jest usposobionym dla was. Godzinę tylko wybrać chce królowa, w której wraz z wami stawić się ma przed nim i błagać o przebaczenie. Nie trwóźcie się więc i czekajcie, a bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy Opat nadmienił im zaraz, iż z rozkazu królowej dostać mają nowe szaty, w którychby się przed królem stawili. Dnia ani godziny nie umiał im oznaczyć.

Wielka radość wstąpiła w serca Jaksów.

Gdy nazajutrz po powrocie Samka i Odrzyna, królowa Emnilda ujrzała ich pełniących służbę, domyśliła się, iż Jaksowie już są na grodzie. — Zbliżająca stanowcza chwila coraz większą przejmowała ją trwogą. Wzywała na pomoc Opatrzność, aby jej do miłosiernego dzieła dopomogła i tym razem ufając, nie zawiodła się.

W kilka dni po przybyciu młodzieńców w piękny, wiosenny wieczór, król siedział samotny z zachmurzonym czołem. Troska czy uzyska u Ojca świętego tak upragnioną koronę poświęconą, jako i brak otaczających go dawniej władków srogo mu dokuczały.

Na chwilę takiego smutnego rozdrażnienia napotkała właśnie królowa. Ujrzawszy ją, podniósł ku niej Bolesław oczy:

— Mówią, że modlitwy ludzi świętobliwych są skuteczne — rzekł do niej — mogłabyś się pomodlić, aby mi Bóg powrócił przyjaciół. Pusto koło mnie, nie mam ludzi... na starość odbiegło mnie wszystko.

— Miłościwy panie — odezwała się królowa — dajcie mi moc zabezpieczającą mnie od gniewu Waszego, a ufam Bogu, iż się to wszystko zmieni.

Bolesław zadumał się.

— Jakiejże chcecie mocy, jakiej poręki? — zawołał.

— Abym łaski serca Waszego nie straciła, o to tylko proszę — odpowiedziała królowa.

— Czyńcie jako wiecie, że dobrem będzie — rzekł poważnie król — tak świętobliwa jak Wy niewiasta nic zaprawdę złego uczynić nie może, a gdybym się rozgniewał na Was, byłbym winnym.

Królowa ujęła rękę męża chcąc ją pocałować, Bolesław czoła jej ustami dotknął z poszanowaniem.

— Czyńcie co chcecie — rzekł — co zrobicie będzie dobrem.

Na tę rozmowę jakby umyślnem zrządzeniem Bożem nadszedł Opat.

— W porę przybywacie — odezwał się król — oto Emnilda żąda ode mnie bezpieczeństwa tylko, a obiecuje mi powrót moich straconych przyjaciół... Bądź świadkiem Ojciec mój, iż przyrzekam wszelki gniew hamować i spełnić co zechce królowa.

— Ufam, iż modlitwy świętobliwej pani naszej dokażą cudu — zawołał Opat Aron.

Wstała królowa natychmiast i dziękując jeszcze, oddaliła się.

Król zatrzymał Opata. Nieustanną troską była mu korona, której tak bardzo pragnął.

— Cóżście obmyślili? — zapytał Opata.

— Jedno jest do uczynienia — począł Aron — potrzeba pominąwszy cesarza słać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli. Z Niemiec dochodzą wieści, iż na gościńcach poczyniono wszędzie zasadzki na jadących z Polski ku stolicy Ojca świętego. Dowiedzieli się już od kogoś o tem, co istotnie uczynić zamierzamy. Nie jednego więc posła, ale odmiennemi drogami, dwóch przynajmniej wysłać trzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzie gdy obu z darami słać musimy, nie wiedząc, który z nich dojedzie bezpiecznie, obu też należy wyposażyć i na stracenie skarb jeden poświęcić.

— Mój Ojczy — zawołał król z pogardliwym ruchem ręki — o złoto nie idzie mi wcale. Korona poświęcona droższą jest nade wszystko dla moich potomków... Ale gdzież ludzie, którymby to poselstwo powierzyć można?

— Znajdą się ludzie — odparł Opat — dwóch wiernych Wam kapłanów i pamiętnych dobrodziejstw Waszych dla Kościoła dostarczy nasz Zakon, rozsypany po całym świecie. Od klasztoru przejdą Niemcy i Włochy. W obronie dodamy im dzielnych rycerzy, co dla Was miłościwy panie gotowi są życie poświęcić.

— Mnichów wybieriecie — odezwał się Bolesław — ale skąd weźmiemy rycerzy, których mi na dworze codzień ubywa?

— Jutro miłościwy panie mieć ich będziecie przed sobą — rzekł Opat.

— Jutro? — powtórzył król zdziwiony.

— Tak jutro — potwierdził Opat.

Król patrzył nań zdziwiony trochę, lecz nawykł był mieć ufność do swego doradcy, iż pytać więcej zaniechał. Nadchodzący z pokłonami obcy goście wkrótce tę rozmowę przerwali. Opat się oddalił. Poszedł pomówić jeszcze z królową, a potem udał się do Jaksów, którym rzekł:

— Królowa postanowiła przedstawić was jutro królowi, któregośmy dla was łaskawie usposobili. Ale, że za każde przestępstwo zapłacić trzeba pokutą, a kto jej nie odbędzie, tego czeka sroga kara w wieczności, więc przeznaczyłem was do niebezpiecznego przedsięwzięcia, którem łaskę króla w zupełności odzyskać będziecie mogli... Udacie się w podróż długą i groźną utratą swobody, a nawet życia... a jeśli się choć jednemu z was uda pozyskać to, za czem wysłani będziecie różnemi drogami, zjednacie serce królewskie, zatrzecie pamięć lekkomyślności i przewinienia.

— Gotowiśmy na wszystko! — zawołali jednogłośnie bracia i z wielką radością zaczęli się sposobić na jutro do stawienia się przed królową i królem.

XII.

Był pogodny, ciepły dzień wiosenny. Niebo całe przybrało lazurową szatę, słońce ożywcze

promieniami budziło ze snu zimowego całą przyrodę.

W królewskich też podwórcach wyglądało świątecznie. Ludzie, konie, psy i ptaki łowcze kręciły się niespokojnie.

I gości dnia tego napłynęło więcej niż zwykle do sądu i łaski królewskiej. Byli tu i władcy możni, przybyli z dalekich stron wojacy i nawet ubodzy kmiecie.

W królewskiej jadalni jeszcze pusto było. Stał tylko w milczeniu Opat Aron i kilku panów z rady.

Lecz wkrótce ukazał się we drzwiach orszak królewski i Bolesław w stroju świątecznym zasiadł przy stole.

Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie. Oczy króla zwracały się często na drzwi, któremi Emnilda wchodzić była zwykła. A gdy zdała rozległ się szelest szat niewieścich, twarz Bolesława nieco pobladła. Opat nie spuszczał oka z niego. Wtem ci, co stali przy drzwiach jadalni, poruszyli się i stłumione krzyki podziwu dały się słyszeć.

Tuż szła królowa, na ten dzień uroczyście strojna, we włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowej złotem przerabianej. Błada twarz jej jakby jasnością była otoczona. Szła nie sama; z prawej i z lewej strony trzymając Jaksów za ręce, czarno ubranych z twarzami blademi i oczyma spuszczone.

Król ujrzawszy ich drgnął cały... po twarzy jego przebiegły kolejno jakby gniewu płomienie, blaski łaskawości, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią wielka radość.

W milczeniu przystąpiła Emnilda przed pana i uklękła... Jaksowie rzucili się także na kolana i twarzami pochyłili się do nóg królewskich. Chwilę trwało milczenie... królowej zabrakło tchu w piersi, podniosła oczy do góry...

— Panie mój i królu — zawołała — przychodzę prosić o miłosierdzie dla siebie i dla dwóch winowajców, których przed gniewem twym uchowałam... Przeszedł gniew... stawiam ich przed tobą, błagając cię, bądź miłosiernym... i na wzór Chrystusa ulituj się nad nimi!

Król widocznie stał wzruszony. Nagle wyciągnął ręce ku królowej.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć sam opłakiwałem. I tobie Emnildo nie przebaczyć, ale wdzięcznym być powinienem. Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi znów wierni wracają do boku. Podnieście się — dodał do Andruszki i Jurgi. — Niech przeszłość idzie w zapomnienie. Spodziewam się, że ją zmażecie...

— Krwią naszą! — zawołali zgodnie Jaksowie, całując wyciągniętą ku nim rękę króla.

Na widok tego dziwnego pochodu ludzi, których wszyscy za umarłych mieli, cały tłum dwo-

rzan z razu ogarnął przestach. Cudem się zdawało ich ocalenie, oczom swym nie wierzono. Potem, gdy przemówiła królowa, gdy odpowiedział król, podniosły się okrzyki nieskończone. Radość na wszystkich malowała się twarzach, ludzie wzruszeni cisnęli się bliżej ku panu.

Twarz króla rozpromienioną była weselem, jakie dawno nie gościło na niej.

Spojrzał na czarny ubiór Jaksów i zwrócił się do Sieciecha.

— Nie przystały im te szaty — zawołał — idźcie i ubierzcie ich w odświętną odzież ze skarbca; zawieście im na szyi łańcuchy i przypaszcie miecze. Idźcie i wracajcie tu, abyśmy się wspólnie weselili.

Sieciech pospieszył wypełnić rozkaz króla, ruszył wnet zabierając z sobą młodzieńców, a wszyscy patrzeli ciekawie za nimi.

Królowa osłabła, rozplakana odeszła, aby do sił powrócić. W orszaku jej, tak mnogim jak zwykle, jedyna tylko twarz była zasepiona i gniewna. Margrafówna Oda nie mogła taić w sobie zazdrości i gniewu na widok zwycięstwa królowej. Zaraz też nazajutrz wyjechała z Poznania i powróciła do rodzinnego domu.

Bolesław z wypogodzonym obliczem rzekł do Opata żartobliwie:

— Wasza Przewielebność takżeście pono do spisku należeli, za co niech Wam będą dzięki, jak

równie wszystkim tym, co mi oszczędzili krwi przelanej. Do Tyńca dodam wam lasów i łąk nową przestrzeń, aby została pamiątka dobrego uczynku.

Wtem w podwórzu zatętniało ogromnie, jak gdyby wojsko całe na gród przybywało, słychać było rzenie koni i wrzawę. Naprzeciw stołu królewskiego pootwierane okna dozwalały widzieć orszaki napływające w podwórze. Byli to wszyscy Jaksowie i ich powinowaci, którym z rozkazu królowej znać dano, aby przybywali i oczekiwali, rychło się dzieło miłosierdzia dokona. To też dziś ci wszyscy, co dwór opuścili, wracali z dziękczynieniem. Gdy król ujrzał w progu tłum, na którego przedzie szli starcy, okryci bliznami, dalej młodzież rycerska, uniósł się z nietajoną radością. Wszyscy szli schyleni ku niemu.

— Nie mnie, ale królowej dziękujcie! — zawołał — ona to cud uczyniła!

Wtem na przedsieniu zagrzmiały trąby. Sieciech wiódł rycersko i strojno przyodzianych braci, którzy powtórnie do nóg Bolesławowi upadli.

Tuż stryjowie, bracia stryjeczni, wujowie i wszyscy powinowaci kołem ich otoczyli i zapomniawszy o obecności króla, jęli płacząc nieomal z radości ścisnąć ich i witać. Nigdy jeszcze na dworze pańskim takiej nie było wrzawy. Przez wszystkie izby rozchodziły się radosne okrzyki i wybiegały na podwórze, a tam stojące tłumy po-



Sieciech wiódł rycersko i strojno przyodzianych braci, którzy powtórnie do nóg Bolesławowi upadli...

wtarzały je po całym grodzie... Co żyło biegło, pytało, dzieliło tę radość pańską...

Petrek, który stał przed swoją izbą z zaciśniętymi ustami, blady z głową spuszczoną, słuchał okrzyków i uśmiechał się szydersko. Był on już od wczoraj doszedł do tego, podsłuchując, zabiegając, chwytając poszlaki, i poselstwa do Rzymu się domyślił. Wiedział już nawet, że jeden z Jaksów jest do boku posła przeznaczonym. Choć Opat Aron taił przed nim i przed wszystkimi co czynić zamierzał, miał on swoich donosicieli, a Niemcy ze dworu Ryksy i niektórzy z posługi króla tak samo jak on niemieckim służyli panom.

Niewidzialną siecią opasany był ten Wielki król, który sam też starał się przebiegłością i złotem mieć zawsze wieści z nieprzyjacielskiego obozu.

W pisarzu oprócz uległości dla cesarza chęć pomszczenia się za rodzaj chłodnej wzgardy i nieufności, jaką mu okazywano, budziła się coraz żywiej. To też teraz, nie miał nic pilniejszego, jak donieść o zamiarze Bolesława, wysłania do Rzymu posłów po poświęconą przez Ojca św. koronę. Napisawszy słów kilka o tem na zrzynku pergaminu, zapieczętował go i przez zaufanego sobie Niemca wysłał to pismo do Arcybiskupa magdeburskiego.

Trzeciego dnia po owem uroczystem przyjęciu Jaksów, właśnie gdy miano jednego z nich wyprawić w podróż z przybyłymi z Tyńca dwoma Be-

nedyktynami, rozeszła się wieść, że królowa Emnilda zachorowała. Gwałtowne wzruszenia, jakich ciągle od początku tej sprawy doznawała, podkopały do reszty i tak już bardzo postami i rozmaitemi ćwiczeniami pobożnemi osłabione jej zdrowie.

Nie było wówczas lekarzy. Jedynym co słyszał szeroko, był Biskup praski, starzec sparaliżowany, którego przywieźć było niemożliwem. Rady niewieście, któremi ją leczyć chciano, nic nie pomagały. Stan królowej pogarszał się z każdą godziną.

Na królu wielki widać było smutek. Nakazał po wszystkich kościołach odprawiać nabożeństwa i modlić się o przywrócenie zdrowia królowej. Dwa dni całe leżała królowa Emnilda otoczona dworem niewieścim, przywiązany do niej jak do matki. Królewiczowa Ryksa i Teodora Sieciechówna nie odstępowały jej na chwilę. Trzeciego dnia zażądała królowa duchownego, spowiedzi i przygotowania na tę wielką podróż... Potem uspokojona i mniej cierpiąca zasnęła... aby się już nie zbudzić więcej...

W mgnieniu oka rozeszła się po grodzie i mieście wieść straszna, iż królowa umarła!

Żal niezmierny ścisnął męskie serce króla. Zdało mu się, że z tą niewiastą opuszcza go szczęście, które jej modlitwy wyjednywały mu u Boga.

Na całym grodzie, i gdziekolwiek się o śmierci królowej dowiedziano, żal, boleść i przestach

wielki ogarnął ludzi; królowa bowiem była matką ubogich i orędowniczką u króla wszystkich tych, co się do niej z najdalszych stron kraju udawali o pomoc. Choć woła królowej było, aby jej pogrzeb odbył się jakby w zakonie skończyła życie, król o tem słuchać nie chciał i kazał ją ze wspaniałością wielką pogrzebać obok ojca Mieszka, tam, gdzie on sam też chciał spoczywać. Rycerstwo, duchowieństwo, panów zwołano natychmiast. Z Gniezna i Trzemeszna przybyli wszyscy nieomal kapłani, a tłumy ludu i tak już gród oblegały.

Trzeciego więc dnia po zgonie królowej Emnildy, odbył się jej pogrzeb z przepychem niezmiernym i uroczystem nabożeństwem. Gdy nazajutrz rozplynęły się tłumy i życie powszednie wróciło do zamku nad Cybiną, Opat Aron widząc króla w niepokieszonym smutku pogrążonego, starał się najpierw skłonić go do poddania się woli Opatrzności, potem odwrócić myśli jego od żałoby, przypominając mu dwa poselstwa, które wyprawione być miały, a dotąd były wstrzymane dla choroby królowej. Na wzmiankę o tem król w istocie ożywiać się zaczął.

— Jaksowie i moi dwaj księża czekają — odezwał się Opat.

— Niechże jadą — odparł król.

Natenczas Opat zaczął kreślić obszernie plan podróży i opowiadać, jakimi listami do Rzymu miał ich opatrzyć. Listy te przeciw zwyczajowi nie Pe-

trek przysposobił ale Benedyktyn, którego umyślnie dla napisania ich sprowadzono.

Następnie mówiono o oznaczeniu wagi złota, jaką dwa poselstwa zabrać miały jako podarunek dla Ojca św. Wszystkie te szczegóły, o których król myśleć musiał i mówić, odrywały mu myśli od bolesnego wspomnienia o królowej.

Uchwalono więc wysłać pierwszego Andruszkę z Ojcem Romualdem, Benedyktynem i kilku czeladzi dobranej między wiernymi królowi Niemcami. Pozorem wyprawy miało być poselstwo do cesarza. Ojciec Romuald, mający prowadzić gromadkę, znał dobrze kraje, które miał przebywać i zamierzał jechać od klasztoru do klasztoru, zasięgając u swych braci wiadomości o bezpieczeństwie gościńców. Andruszka miał powierzoną straż i obronę, zwierzchnią władzę nad czeladzią, pilnowania złota, które wieziono dla Papieża.

Tak więc udano się w podróż. Przejazd do sąsiedniej Marchii bez żadnego wypadku, nappełnił Ojca Romualda otuchą.

Podróżni już się byli dostali szczęśliwie aż za Magdeburg i postępowali spiesźnie dalej, gdzie się coraz bezpieczniejszymi być sądzili, gdy jednego wieczoru znaleźli się nad sporą rzeczką, jeszcze wodami wiosennemi wezbraną.

Dla podróżnych był tu przygotowany prom, stojący właśnie u drugiego brzegu. Nie daleko przewozu widać było na wzgórzu dość okazały

zamek z wieżą i otoczony budynkami. Gościniec szedł pod samą górę.

Andruszce zdało się mimo mrok zapadający, iż na brzegu przeciwnym dojrzał kupkę jeźdźców. Pokazał ją Ojcu Romualdowi, ale ten nie widział w tem nic, coby ich zastraszać mogło. Gdy na zawołanie ruszył prom, aby ich przewieźć, uderzyło i to Jakse, iż ci jeźdźcy się nań nie zabrali, a więc jakby na czatach tam stać mieli. Benedyktyn zaś utrzymywał, iż właśnie spoczywali może po przewozie.

Po dość długiem oczekiwaniu przybyli wreszcie przewoźnicy z promem i nasi podróżni wsiedli. Andruszka, który na wszystko miał baczne oko, już na połowie rzeki mógł dojrzeć, że to byli uzbrojeni pachołkowie, którym stojący na przodzie dowodził pokaźny wąsal.

Skoro tylko przybili do przeciwnego brzegu, pachołkowie dokoła ich obstąpili. Ładowne konie zwracały łakome ich oczy, dowódca zawołał:

— Prowadźcie ich do burgu! Tam się wykaże, poco oni tu przybywają! — i nie zważając na przedstawienia Benedyktyna, poprowadzono schwytych w górę ku zamkowi, gdzie pełno ludzi zbrojnych oczekiwało ich we wrotach.

Andruszka, który nawet miecza wydobyć nie mógł, zżymał się z gniewu, lecz przeciwko takiej przemocy nic począć nie mógł.



— Prowadźcie ich do burgu! Tam się wykaże, pocóż oni tu przybywają!...

W milczeniu przybyli na obszerne podwórze i tu wyszedł do nich silnej budowy mężczyzna, po którego śmiałem obejściu się i postawie poznać było można pana domu.

— Aha! — zawołał zwracając się do księdza — my tu już na was czekamy dawno... Wiem dobrze, skąd jedziecie i dokąd... posłani jesteście od Bolka polańskiego, by mu mimo wiedzy cesarza koronę kupić w Rzymie. O was już na wszystkich wiedzą drogach i czatują, a mnie się szczęśliwie udało łakomą tę zdobycz zagarnąć...

Ksiądz chciał coś odpowiedzieć.

— Z koni! — krzyknął graf — związać ich!... Loch mam już dla nich przysposobiony.

Andruszka chciał się bronić, ale go czterech ludzi schwyciło i ściągnęło z konia. Miecz wyrwano mu z ręki. Toż stało się w mgnieniu oka z wszystkimi jego ludźmi. I ksiądz nie uszedł niewagi. Ale szczęściem listy przeznaczone do Rzymu miał Ojciec Romuald w kapturze wszyte, a że mu jako duchownemu suknię zostawiono, ocalały więc listy. Potem zaczęto zdejmować juki z koni. Na widok skórzanych worków pełnych złota okrzyki radosne po całym rozlegały się podwórzu i zamku. Skarby dowodziły grafowi, iż się nie omylił.

Więźniów, ani słuchając, ani patrząc na nich, kazał związanych zaprowadzić do lochu. Pędzono ich popychając i bijąc, a dziedzińce rozlegały się szyderskimi śmiechami.

Gdy ich zamknięto w ciemnej jamie, Ojciec Romuald ukląkł się modlić, Andruszka włosy rwał z głowy z rozpacz.

Graf Zeno, siedzący na tym zamku był lennikiem Arcybiskupa magdeburgskiego. Po krótkiej więc naradzie ze swymi przybocznymi, ubezpieczywszy zabrane złoto, siadł na koń, aby panu swemu wesołą przywieźć nowinę.

Ale wkrótce zrodził się spór groźny o zabrane złoto, które Arcybiskup za własność swą uważał; graf zaś poprzysiągł, że nie da z niego ani odrobiny. Zagrożony więzieniem Zeno, obwarował się na swoim zamku, gotów bronić siebie i swego skarbu z orężem w ręku.

O tem wszystkim dowiedziano się w Poznaniu od wędrującego mnicha, który szedł do Gniezna do grobu św. Wojciecha i wstąpił do Braci duchownych na Katedrze poznańskiej. Opatowi zdawała się chwila ta najsposobniejszą do wysłania drugiego poselstwa, którego się ani w Magdeburgu ani gdziekolwiekbyć nie spodziewano.

Przygotowanym był Bolesław i doradca jego na stratę i niepowodzenia, a choćby trzech posłów miano po drodze obedrzeć, król postanowił śłać ich, póki ktoś szczęśliwy do Rzymu się nie dostanie i korony poświęconej mu nie przywiezie. Jurga z towarzyszem czekał tylko na rozkaz. Jak brat, tak i on gotowym był na wszystko, co go spotkać miało, chociaż do życia wiązała go piękna Teodora

i przyrzeczenia jej ojca, że za powrotem stanąć mają do ślubu. Zbudzono go w nocy, nie dając mu ani się żegnać, ani dać znać o sobie i za godzin kilka po odebraniu smutnej wiadomości o uwięzieniu pierwszego poselstwa, orszak drugi wyruszał furtą od Katedry na niebezpieczną wyprawę.

W owych czasach władza cesarska nie tylko przez całe Niemcy sięgała, ale obejmowała Włochy i nieomal wszystkie podległe im kraje. To też Opat nie wątpił prawie, że i drugie poselstwo wpaść może w ręce nieprzyjaciół.

O losie Andruszki nie spieszo uwiadomić króla, a Benedyktyni nie upominali się o Ojca Romualda, mając go już za straconego.

W kilka dni po wyprawieniu drugiego poselstwa, Opat wracając wieczorem do celi, ujrzał kupkę ludzi zebraną około dwóch pieszo przybyłych pielgrzymów, których ani z ubioru ani z postaci zrazu nie mógł poznać.

Zbliżywszy się dopiero, poznał z niewysłowionem zdziwieniem O. Romualda w odartej sukni, a obok niego nędznie odzianego Andruszkę.

— Bóg miłosierny! — zawołał Opat, zbliżając się ku nim spiesźnie — więc uwolniono was!

Po serdecznem przywitaniu O. Romuald opowiadać zaczął, jak ich rzucono do lochu, jak potem przez litość córki więziennego stróża przeniesiono ich do izby ponad ziemią. Andruszka siłą i zrećnością wyłamawszy się nocą, spuścił się w

podwórze, wyjścia przez wały wyszukał i księdza za sobą powołał. Nim zaświtało i ucieczkę odkryto, zbiegli już byli do lasu i łowieckim instynktem się w nim kierując, zdołali się dobić do Łaby, gdzie pomoc jakąkolwiek za obietnicą nagrody znaleźli.

Uradowany Opat odprowadził ich do swego pomieszkania, dla wypoczynku i pożywienia, a na-
zajutrz Andruszka, któremu wstyd było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzce i straty wielkiej byli przyczyną, prosił gorąco Opata, aby go raz jeszcze wysłano. Tego jednak bez wiedzy króla uczynić nie można było.

Tymczasem Jurga z Ojcem Gosbertem i małym poczem czeladzi zdążał do Rzymu po koronę. Podróż udawała się im szczęśliwiej; przebyli całe Niemcy bez wypadku, bo zamiast szerokich gościńców wybierali drożyny niewygodne i puste, a zatem od czat bezpieczne. Klasztory, do których wstępowali, dostarczały Ojcu Gosbertowi dokładnych wskazówek i dawały im za przewodników braciszków znanych w okolicy, którzy opowiadali wszystkim, iż prowadzą własność klasztorną.

Tak więc po długiej i uciążliwej podróży przybyli wreszcie do bram wiekuistego miasta, i wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą, czując, że tylko cudem dostać się mogli do celu podróży.

Była to połowa dopiero trudnego i wielkiego dzieła. W Rzymie miał cesarz niemiecki zwolenników i stróżów, wpływ jego był potężny. Należało z oględnością wielką przedsiębrać kroki i nie wydawać się z celem poselstwa, dopókiby drogi przygotowane nie były. A na ostatek, gdyby się udało osiągnąć od Papieża namaszczonej korony o czem wieść niewątpliwie dojdzie do cesarza... odwieźć ją Bolesławowi, stawało się najtrudniejszym zadaniem. Czuł to dobrze Ojciec Gosbert, lecz wybór jego dowodził, jak doskonale Opat Aron znał ludzi i umiał posługiwać się nimi. Benedyktyn ten w średnim wieku, wypróbowany życiem, był mężem żelaznym, ostrym, gdy przecinać trzeba było węzły, milczącym i przebiegłym, cierpliwym w przykrem położeniu i Jurga wpatrując się w niego, starał się naśladować go, a sam widok nowych dlań krajów i ludzi starczył mu za nagrodę, za wszystkie trudy uciążliwej podróży. Rzym w ruinach na poły, na pół w stojących jeszcze budowach wieków chwały i potęgi, przybylcowi z kraju drzewa i drewnianych budynków snem się wydawał niezrozumiałym i niepojętym. Ojciec Gosbert pomodliwszy się u wjazdu do bramy miejskiej, opowiedział się tu jako mnich Benedyktyn przybywający w sprawach klasztoru i zaraz też udał się z całym swym pocztą za Tybr, do benedyktyńskiego klasztoru.

Tu Ojciec Gosbert udał się wprost do przeora, a Jurgę z całym orszakiem umieszczono w gospodzie obok klasztoru. Nazajutrz przyszedł do niego słowiańskiego rodu braciszek, który mógł się z nim rozmówić. Kazano Jurdze odziać się tak, aby oczu na siebie nie zwracał i dozwolono mu chodzić z tym przewodnikiem po mieście, którego widok w zachwyt wprawiał młodego rycerza. Ojciec Gosbert zajmował się tymczasem wielkiem dziełem. Dary we złocie, jakie poselstwo Bolesława przywiozło z sobą, nieco ułatwiały trudne zadanie, bo skarb wojną z Muzułmanami był wyczerpany; lecz wkrótce dowiedział się Ojciec Gosbert, iż o żądaniu króla Polan wcześniej znać dano do Rzymu, a cesarz się sprzeciwia przesłaniu korony.

Sam nie ważąc się na wyjednywanie żądanej korony u Papieża Benedykta, Ojciec Gosbert posłał innych na zwiady, powoli toczyły się rozprawy, o środkach, jakich używać trzeba było aby dość do celu. Wreszcie po długich umowach udało się Benedyktynom, mającym wielki wpływ u Papieża, wyprosić, iż się skłonił do namaszczenia i poświęcenia korony dla króla Bolesława.

Właśnie gdy już załatwionem było, przybył do Rzymu Ojciec Romuald wraz z Andruszkiem, których przebiegły Opat Aron w następującym przysłał celu. Jadąc z powrotem, mieli rozdzielić się i oprócz namaszczonej korony, drugą wieść fał-

szywą, aby nią oszukać na tę zdobycz czatujących. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem, tak, żeby wpadła w ręce cesarskiej straży, która zadowolona zdobyczą jużby na przewiezienie drugiej nie zważała. Zaraz nazajutrz po uroczystem poświęceniu korony przez Ojca św., O. Romuald i Andruszka w oczach mnogich świadków ruszyli ze znaczniejszym poczem z fałszywą koroną.

Potem dopiero w dni kilka potajemnie wyjechać miał O. Gosbert z Jurgą, wioząc swą koronę poświęconą, przeznaczoną do uwieńczenia skroni Bolesława. Wszystko się stało jak obmyślono.

Pierwszy poczet przebył Włochy bezpiecznie. Lecz skoro tylko wstąpił na granicę Niemiec, otoczyła ich zbrojna gromada ludzi, którzy ich do najbliższego zaprowadzili zamku i tam przetrząsając juki, z radością wielką znaleziono koronę. Natychmiast wysłano gońca na dwór cesarski z oznajmieniem o świetnej zdobyczy. Ojciec Romuald i Andruszka zostali znów zamknięci w więzieniu.

Tymczasem Ojciec Gosbert i Jurga przekradali się ostrożnie przez lasy i manowce nocami i rankami, wśród burz i śloty, aż wreszcie dostali się szczęśliwie poza Łabę. Tu byli już jak w domu. Jurga chcąc królowi prędszą sprawić radość, najzręczniejszego z pacholków wyprawił przodem do Poznania z uwiadomieniem o szczęśliwym powrocie.



Gdy korona nadejść miała, wysłano naprzeciw posłom, aby wprowadzoną była i złożoną na ołtarzu...

Na dworze królewskim wielkie przez ten czas zaszły zmiany. Bolesław namawiany przez kilku grafów niemieckich skłonił się wreszcie do zaślubienia Ody, która przybyła tryumfująco z wysłaniem po nią świetnem poselstwem i nie zważając na niechęć, jaką jej okazywał Mieszko i dumna żona jego Ryksa, wkrótce zawarła związek małżeński ze starym królem. Bolesław nie mógł spokojnie używać słodczych miesięcy miodowego, bo niepokój o poselstwa dręczył go nieznośnie. To też na wieść, iż Ojciec Gosbert z Jurgą przybywa z koroną, radość niezmierna powstała na całym grodzie.

Król po krótkim namyśle udał się do katedry i tam przed wielkim ołtarzem u grobu ojca stanął, jakby z duchem jego dzielić się chciał wielką radością.

W dniu, gdy korona upragniona nadejść miała, wysłano poczty naprzeciw posłom, co ją wieźli, aby z przynależną wspaniałością wprowadzoną była i złożoną na ołtarzu, dopóki do Gniezna nie była przewieziona, gdzie koronacja odbyć się miała z wielką uroczystością.

Gdy się to działo w Poznaniu, na dworze cesarza niemieckiego i arcybiskupa magdeburskiego panował wielki gniew, gdy się przekonano, iż mimo wszelkie zabiegi Bolesław osiągnął koronę. Nie mogąc nic uczynić więcej, mszczono się na niewinnych i trzymano w srogiem więzieniu Ojca

Romualda i Andruszkę. Ale król Bolesław dowiedziawszy się teraz dopiero, jak wielką ponieśli dlań ofiarę, posłał wielką sumę złota ubogiemu baronowi, który mieszkał na zameczku w pobliżu, gdzie byli ci dwaj wierni jego słudzy uwiecznieni. I ten naszedł w nocy z kupką ludzi więzienie, schwycił dozorców, zagroził im śmiercią i jeńców oswobodził i bezpieczną wskazał im drogę do domu.

Nim w Gnieźnie koronacya nastąpiła, już i tych dwóch straconych wróciło do Poznania.

Jurga od chwili przybycia nie odstępował brata, a król obu ich obsypawszy łaskami, otaczał ojcowską troskliwością. Obaj naówczas pokłonili się panu, aby im dozwolił spocząć na ojcowiznie.

Choć niechętnie puszczał ich Bolesław od swego boku, choć ociągał zrazu zezwolenie, w ostatku zgodził się, aby jechali do domu.

Dowiedziawszy się o tem Andruszka, uczuł, że mu przybywa sił, które stracił w srogiej niewoli i że na konia sieść może. Jurga, któremu król obiecał wyprawić sute wesele z Sieciechówną, szczęśliwy jechał wyściełać gniazdo.

Zakończenie.

Król Bolesław Wielki nie długo cieszył się koroną. Choć w kraju panował spokój, nie było go w domu. Ryksa i Oda, ciągłemi niesnaskami zatruwały mu życie, wreszcie po krótkiej chorobie umarł roku 1025.

Z wielką wspaniałością pochowano go obok ojca w katedrze Poznańskiej. Zbiegł się kraj cały na pogrzeb króla, który trzydzieści i kilka lat ciężkiego trudu poświęcił utworzeniu państwa, które przez wiele wieków istnieć miało w świetności.

Żal był w całej Polsce ogromny, Przez rok trwała żałoba i żadnych nie wyprawiano wesołości. Bo też ze zgonem jego pokój, wesele, na długo ustąpiły z Polski.

Królowa Oda zabrawszy z sobą skarby wielkie, powróciła do ojca. Postać starszego syna Bolesława Wielkiego, Bezpryma, znika zupełnie w pomroce dziejów. Niektórzy tylko historycy utrzymują, że po śmierci ojca udał się do Węgrów i wpadłszy z nimi do Polski, osiągnął tron na czas krótki, lecz zrzucony z niego zakończył życie, jako zakonnik pod imieniem Ojca Lamberta.

*

*

O losach braci Jaksów nie wiele nam dopowiedzieć wypada. Z ciężkiej próby młodości, gorzkim doświadczeniem zahartowani, stali się mężami dzielnymi, godnymi przodków.

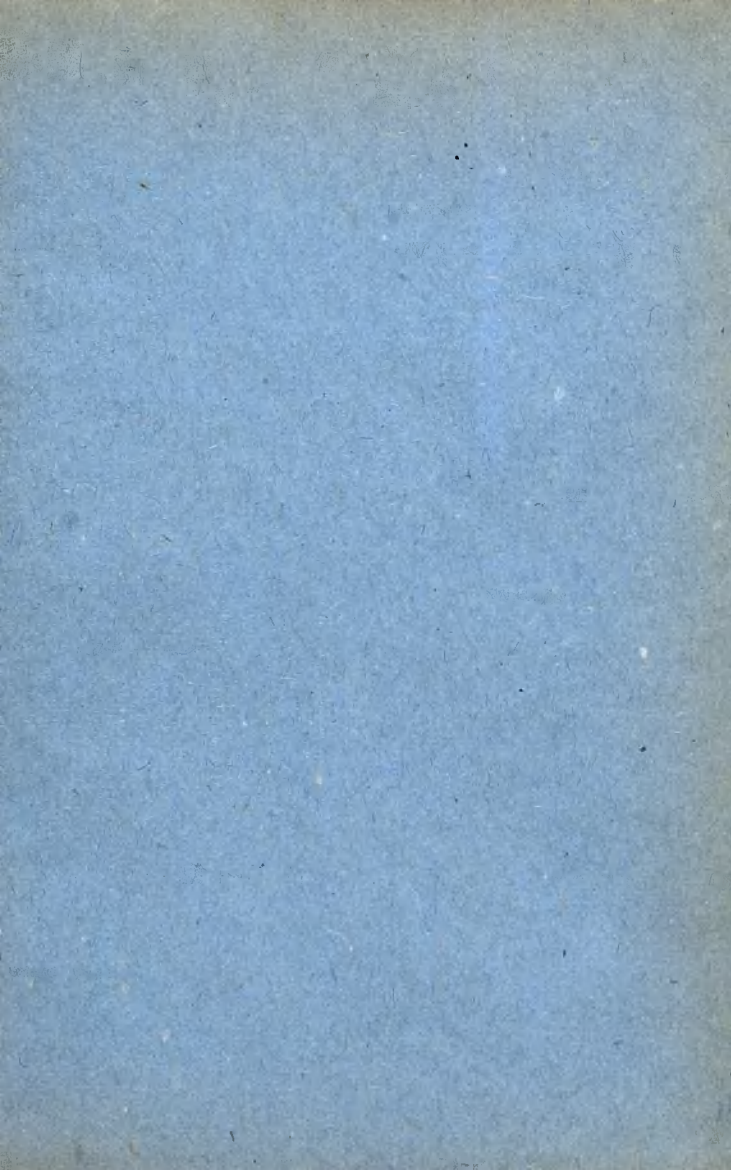
Andruszka, któremu życie spokojne na wsi nie smakowało, puścił Jurdze całą ojcowiznę, a sam powrócił do pancernych, do życia wojskowego, do którego był nawyknięt.

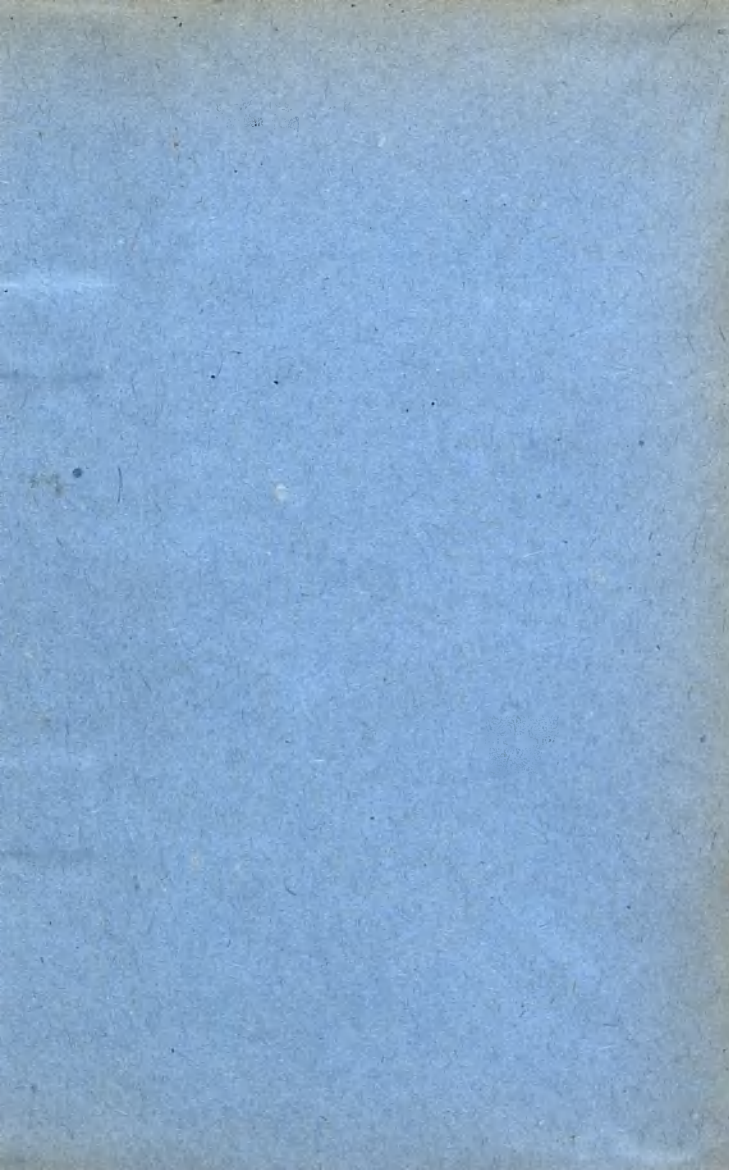
Jurga ożeniwszy się z Sieciechówną, osiadł w Jaksowych borach, ale i ten choć szczęśliwy w domu, ziemianinem spokojnym długo być nie umiał.

Gdy po długich i strasznych zaburzeniach w kraju, zasiadł wreszcie na tronie Kazimierz, wnuk Bolesława Wielkiego, Jaksowie byli pierwszymi, co stanęli przy nim, dopomagając do odbudowania w gruzy rozsyanego królestwa. Obaj też doszli do dostojęństw wielkich i majętności, a ród ich rozmnożył się później na różne gałęzie.



Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000611512



I 134913

Pracownia Śląska